

Głosy z Polski:

z perspektywy
mniejszości

Publikacja powstała w ramach projektu „Głosy z Polski: z perspektywy mniejszości” <http://voicesfrompoland.com/>

Inspiracją do powstania projektu była Akademia Praw Człowieka i Aktywności Obywatelskiej Fundacji Humanity in Action Polska.
<http://hiapoland2010.blogspot.com/>

Projekt „Głosy z Polski: z perspektywy mniejszości” realizowany jest dzięki wsparciu Fundacji Humanity in Action Polska oraz Ambasady USA w Polsce.



Autorzy:
Daniel Jezierski, David Liebers

© Copyright by Fundacja Humanity in Action Polska,
Warszawa, 2012

ISBN: 978-83-934945-2-1

Wydawca: Fundacja Humanity in Action Polska
00-216 Warszawa, ul. Konwiktorska 7 lok. 43/7
Tel/fax +48 22 653 01 50, e-mail: poland@humanityinaction.org
www.humanityinaction.org
<http://www.facebook.com/HIAPolska>

Opracowanie graficzne i skład:
Sebastian Bieganik, sebastian.bieganik@gmail.com

Druk: Boger Sp. z o.o., www.boger.pl

Nakład: 300 egz.
Wydanie bezpłatne

spis

treści

s. 49

Niemcy

s. 41

Rosjanie

s. 12

Litwini

s. 48

Muzułmanie

s. 32

Karaimi

s. 4

Tatarzy

s. 44

Romowie

s. 24

Żydzi

s. 38

Białorusini

s. 16

Czesi

s. 28

Ormianie

s. 35

Ukraińcy

s. 20

Słowacy

s. 8

Łemkowie

autorzy



Daniel Jezierski

– absolwent historii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II w 2009 roku. Pracując z młodzieżą szkolną zdobył doświadczenie w prowadzeniu zajęć na temat praw człowieka i postaw obywatelskich. W 2010 roku wziął udział w Akademii Praw Człowieka i Aktywności Obywatelskiej Fundacji Humanity in Action Polska w Warszawie. Jest członkiem Amnesty International, obecnie mieszka we Wrocławiu.



David Liebers

– absolwent historii oraz biologii ewolucyjnej na University of Rochester. Po ukończeniu stypendium w Narodowym Instytucie Zdrowia w Bethesda w USA, był uczestnikiem Akademii Praw Człowieka i Aktywności Obywatelskiej Fundacji Humanity in Action Polska w Warszawie w 2010 roku. David uzyskał Gates Cambridge Scholarship na Uniwersytecie Cambridge, przygotowując się obecnie do pracy magisterskiej z historii i filozofii nauki.

Od autorów

Głosy z Polski: z perspektywy mniejszości to projekt, w którym mamy przyjemność zaprezentowania niezwykle interesujących dla nas opowieści oraz najciekawszych fragmentów wypowiedzi członków kilkunastu mniejszości narodowych oraz etnicznych, zarówno obywateli Rzeczypospolitej, jak i obcokrajowców czasowo przebywających na terytorium Polski, którzy podzielili się z nami swoimi refleksjami oraz przemyśleniami w trakcie przeprowadzonych przez nas wywiadów. Przemierzaliśmy kraj, czasem razem, a czasem osobno, wzdłuż i wszerz, od Puńska i Kruszyńian na Podlasiu, przez Otwock, Wrocław i Gorlice, po Orawę przy granicy ze Słowacją. Odnaleźliśmy unikalne miejsca z niesamowicie bogatymi historiami, prawdziwych ludzi-pasjonatów, braliśmy udział w wyjątkowych wydarzeniach kulturalnych – wszystko to prezentujemy w niniejszej publikacji.

Mamy świadomość, iż nasz projekt ledwie dotyka bardzo obszernego tematu, dodatkowo przywołując często skomplikowane oraz dramatyczne wydarzenia z przeszłości Polski i jej sąsiadów, co jednak jest niezbędne dla zrozumienia obecnej sytuacji, w jakiej znajdują się mniejszości. Poruszany przez nas temat nie jest też oczywiście w żaden sposób wyczerpany, powstał on bowiem jedynie na podstawie celowo wybranych przykładów po to, by zwrócić uwagę na niektóre zagadnienia, fragmenty te bowiem składają się na jeden obraz rzeczywistości.

W *Głosach z Polski* nie chcemy jednak tylko opowiedzieć o obecnej sytuacji członków społeczności mniejszości narodowych i etnicznych w kraju, który od kilku lat szczyci się pełnoprawnym członkostwem w Unii Europejskiej, organizacji wiodącej w ochronie praw obywatelskich, w tym praw mniejszości. Wychodzimy bowiem z założenia, iż stopień respektowania ich praw, niczym papierek lakmusowy, odzwierciedla stosunek dominującej tutaj większości do pozostałych obywateli. Tyle mamy więc demokracji w naszym kraju, na ile chronimy prawa naszych obywateli przynależących do którejkolwiek mniejszości, czyli teoretycznie słabszych.

Chcielibyśmy w tym miejscu serdecznie podziękować sponsorom naszego projektu, Ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Polsce oraz Fundacji Humanity in Action Polska, za wsparcie, bez którego także i niniejsza publikacja nie doszłaby do skutku. Słowa wdzięczności należą się również wszystkim tym, którzy zgodzili się podzielić z nami swoimi historiami oraz przemyśleniami podczas licznych rozmów i wywiadów, przyjaciółom oraz sympatykom naszego projektu.

Niech zatem przemówią głosy mniejszości, wydając tym samym ocenę dla naszej demokracji, dla naszych władz państwowych i lokalnych, budowanemu od ponad dwudziestu lat społeczeństwu obywatelskiemu Rzeczypospolitej.

Krajobraz z Jurtą i meczetem w fle polscy Tatarzy z Kruszyńian

Na skraju Podlasia, ledwie kilkanaście kilometrów od granicy z Białorusią znajduje się miejsce niezwykłe, które przyciąga gościnnością swych mieszkańców, nieskażoną przyrodą i wreszcie nadzwyczajną przeszłością, bo właśnie tu, w Kruszyńianach, skrył się w otoczeniu Puszczy Knyszyńskiej zabytkowy meczet. Świątynia wyznawców Allacha, będąca świadectwem obecności polskich Tatarów, którzy od wieków są rdzennymi mieszkańcami tych ziem, jest miejscem unikatowym pod każdym względem. Kiedy po raz pierwszy dostrzegamy zarys świątyni, niczym nie przypominającej meczetów znanych z krajów kultury arabskiej, nasuwa się myśl o przystosowaniu miejscowej mniejszości do warunków lokalnych i wypracowanej przez wieki pokojowej koegzystencji wyznawców trzech wielkich religii świata: islamu, chrześcijaństwa i judaizmu na tym skrawku ziemi, co stanowiło o fenomenie wielokulturowego Podlasia.

W przedwojennym krajobrazie kulturowym II Rzeczypospolitej kilkanaście meczetów, miejsc kultu religijnego Tatarów, stanowiło jego nieodłączny element na Podlasiu i dawnych Kresach Wschodnich. Dziś w granicach państwa polskiego ostały się jedynie dwie tego typu świątynie, obok wspomnianej w Kruszyńianach, przetrwał jeszcze meczet w niedalekich Bohonikach. Ale Kruszyńianie współcześnie to nie tylko historyczne dziedzictwo, pamiątka z dawnych wieków, ale miejsce, które wciąż tętni życiem religijnym, a dzięki ludziom takim jak Dżenneta Bogdanowicz staje się celem zainteresowania gości z kraju i zza granicy, którzy przybywają do tej części Podlasia, by poznać bliżej tradycję i kulturę polskich Tatarów i posmakować specjałów kuchni tatarskiej, przygotowanych przez samą panią Dżennetę.

W Kruszyńianach odwiedzamy 'Tatarską Jurtę', gospodarstwo agroturystyczne, które od blisko ośmiu lat prowadzone jest przez państwo



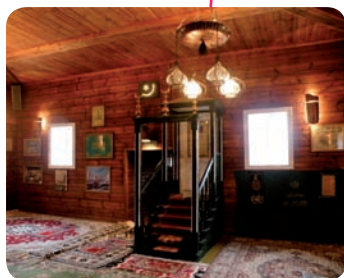
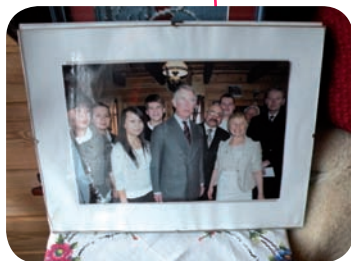


1. Przed meczetem w Kruszynianach.

Bogdanowiczów, polskich Tatarów z dziada pradiada. 'To koniec świata, ale teraz są tłumy', z dumą stwierdza pani Dżenneta i z refleksją wspomina trudne początki swojej działalności, kiedy wioska już wymierała, młodzi ludzie wyjeżdżali do miast i trudno było tu o perspektywę. Pomysł na promocję kultury tatarskiej okazał się trafiony i dzisiaj do wsi ściągają przybysze z odległych krańców, by poznać to osobliwe miejsce. Regionalne Centrum Kultury Tatarskiej 'Asman', cykliczny Festiwal Kultury i Tradycji Tatarów Polskich, 'Orientalny weekend w Kruszynianach', wystawa 'Wielokulturowość Puszczy Knyszyńskiej' czy 'Sabantuj' – święto kulturalne Tatarów odbywające się każdego roku w Kruszynianach, to tylko niektóre z inicjatyw podejmowanych przez niezwykle aktywną panią Bogdanowicz. Sama wspomina o niezapomnianym wrażeniu, jakie wywołał na mieszkańców i licznie przybytych do Kruszynian gościach azan, czyli nawołanie do modlitwy, które po raz pierwszy rozległo się po okolicy z jednej z wieżeczek meczetu.

W marcu 2010 roku, podczas swojej wizyty w Polsce, Kruszynianę odwiedził brytyjski następca tronu, sam książę Karol, który był zafascynowany tym unikatowym miejscem i... specjalistami kuchni tatarskiej. Nic dziwnego, bowiem Jego Księżęca Wysokość raczył się daniami z 'Tatarskiej Jurty' przygotowanymi przez panią Dżennetę, zwyciężczynię wielu regionalnych konkursów kulinarnych i promotorkę rodzimej kuchni. Warto wspomnieć, iż pani Bogdanowicz jako jedyna posiada certyfikat na pieriekaczewnik – bajramową (święteczną) potrawę, dawniej przygotowywaną tylko dwa razy do roku. Koniecznie trzeba też spróbować tutaj wybornych kołdunów, czyli pierogów gotowanych w rosole wołowym, przygotowanych w 'Tatarskiej Jurcie', bo jak mówi pani Dżenneta, 'te prawdziwe są nasze, tatarskie'. Kulinarne zdolności pani Bogdanowicz odkrył również i promował Robert Makłowicz, który w Kruszynianach realizował swój popularny program telewizyjny o gotowaniu.

Głosy z Polski



6



1. Pamiątkowe zdjęcie z wizyty księcia Karola.
2. Gospodarstwo agroturystyczne „Złota Orda” w Kruszynianach.
3. Wnętrze meczetu.
4. Nagrobek na muzułmańskim cmentarzu w Kruszynianach.
5. Pani Dżenneta Bogdanowicz (pierwsza z lewej) z rodziną.

Charles Bronson urodził się jako syn litewskiego imigranta, który był z pochodzenia Tatarem lipkowskim



autor: Fish Cop, na licencji Creative Commons Attribution 2.5 Generic

Odkąd niewielka wioska na Podlasiu stała się celem turystycznych wycieczek z kraju i ze świata, zaczęli w niej osiadać na stałe też i nowi mieszkańcy, a wśród nich Dżamil Gembicki, który od sześciu lat jest przewodnikiem po tutejszym meczecie. Z dumą opowiada nam historię świątyni, której początki sięgają końca XVIII wieku i położonym obok niej mizarze, czyli mużułmańskim cmentarzu, którego najstarszy nagrobek pochodzi z 1699 roku. Opowiada nam o 'świadomych turystach', którzy w większości nieprzypadkowo trafiają do meczetu położonego na Białostockim Szlaku Tatarskim, ale nieco zaskoczeni dowiadujemy się o organizowaniu wycieczek do mużułmańskiej świątyni przez katolickich księży dla swoich parafian, a także o wyznawcach islamu przyjeżdżających do Kruszyńian z odległych krajów arabskich.

Dżamil opowiada nam historię o wycieczce z Kosowa, ogarniętego konfliktem zbrojnym na tle religijnym i narodowym. Prawostawni mieszkańcy Kruszyńian zwrócili uwagę swym serbskim pobratymcom w wierze z Kosowa, by nie manifestowali pieśni religijnych w pobliżu meczetu w czasie ich wizyty w wiosce, ponieważ jest to niestosowne w tym szczególnym dla mużułmanów miejscu. Ci, zaskoczeni pokojową koegzystencją tutejszych wyznawców islamu i chrześcijaństwa, przyznali z żalem, iż w kraju z którego pochodzą jeszcze nie szybko zapamięta taką przyjaźń jak na tym skrawku Polski. 'Przy porządkowaniu mizaru pomagali miejscowi katolicy i prawostawni', przyznaje Dżamil i dodaje 'między Polakami i Tatarami nigdy nie było tutaj konfliktów', bo 'islam w tłumaczeniu oznacza pokój', wtóruje mu pani Dżenneta. I to właśnie stanowi o fenomenie wielokulturowego i wielowyznaniowego Podlasia, którego mieszkańcy potrafią żyć ze sobą w pokoju.

Polscy Tatarzy, szlachta sprowadzona na ówczesne pogranicze polsko-krzyżackie w połowie XIV wieku, stanowią doskonały przykład na asymilację z miejscową ludnością, i chociaż już dawno nie posługują się własnym językiem, to religia mużułmańska stała się najważniejszym

czynnikiem kształtującym ich poczucie tożsamości. Przystosowanie do warunków zewnętrznych i swoisty kompromis zdecydował o przetrwaniu polskich Tatarów, którzy wprawdzie nie obchodzą chrześcijańskich Świąt Bożego Narodzenia czy Świąta Zmarłych, ale w tym okresie wolnym od pracy i nauki, podobnie jak katolicy w Polsce, spotykają się ze swoimi bliskimi, odwiedzają groby bliskich, na których nie stawiają zniczy, ale nie przeszkadza im, gdy ktoś je postawi na mużułmańskim nagrobku. W tatarskich domach, w których są dzieci często ubiera się choinkę w grudniu, pod którą maluchy znajdują prezenty, 'by dzieciom nie było przykro, że są inne od pozostałych', przyznaje pani Dżenneta.

W Kruszyńianach słyszymy często, iż Tatarzy uważają się właściwie za Polaków i są bardzo dumni ze swojego pochodzenia, bo ich przodkowie zawsze walczyli o niepodległość Rzeczypospolitej. Tak jak dziadek pani Bogdanowicz, Samuel Bajraszowski, bohater z czasów II wojny światowej, oficer zastępny w powietrznej bitwie o Anglię, o czym zdumiony dowiedział się książę Karol w czasie swej wizyty w 'Tatarskiej Jurcie'. Warto wspomnieć w tym miejscu, iż ułani, żołnierze lekkiej jazdy, tak charakterystycznej przecież dla kawalerii polskiej, wywodzą się z tradycji tatarskiej, w której 'ułań' oznaczał młodzieńca, junaka. Ale wkład polskich Tatarów w rozwój i budowę Rzeczypospolitej jest znacznie większy, stanowiąc o jej wielowiekowej różnorodności i bogactwie, o czym dziś chce przypominać pani Dżenneta oraz inni działacze na rzecz promowania kultury i tradycji tatarskiej. Kruszyńianie są dziś doskonałym przykładem dla jednoczącej się Europy, godnym naśladowania, jeśli chodzi o pokojowe przenikanie się tak różnorodnych kultur i religii, a dzięki takim osobom zaangażowanym w promowanie wiedzy o rodzimej tradycji, jak pani Dżenneta Bogdanowicz, proces integracji i budowania wzajemnego poszanowania oraz tolerancji nabiera prawdziwych kształtów. ■

Głosy z Polski

Łemkowskie
nagrobki na
cmentarzu
w Gładyszowie.

Nie tylko Watra

Łemkowie z Gładyszowa

Łemkowie

Kim są Łemkowie, czasem nazywający siebie Rusinami? Skąd pochodzą i w jaki sposób udało im się przetrwać? W jaki sposób przetrwali trudne czasy fal emigracji zarobkowych za ocean czy przymusowe wysiedlenia na ziemię zachodnie po drugiej wojnie światowej, zachowując i pielęgnując do dziś niezwykle bogatą i jakże charakterystyczną kulturę pogranicza Karpat Zachodnich i Wschodnich? Znaleźcie odpowiedzi na te pytania nigdy nie będzie łatwe, ale poznanie choćby fragmentu, części tej bardzo interesującej i stosunkowo mało znanej mniejszości etnicznej miejmy nadzieję, że wzbudzi w nas zaciekawienie i uświadomi, jak wiele bogactwa kulturowego jest jeszcze do odkrycia w naszym kraju.

W samym sercu Łemkowszczyzny, nazywanej przez rdzennych mieszkańców tej małej ojczyzny Łemkowyną (łemк. Лемковина), w niewielkiej wsi Gładyszów (łemк. Гладишів), malowniczo położonej pośród pagórków Beskidu Niskiego tuż przy granicy ze Słowacją, z dala od miejskiego gwaru i zgiełku, odwiedzamy 'Dziubynitkę', gospodarstwo agroturystyczne państwa Dziubynów, rusińskiej rodziny nauczycieli, którzy w ciągu swojego życia wiele poświęcili dla podtrzymania i krzewienia tradycji przodków wśród miejscowych. Pan Jan Dziubyna wokół swojego gospodarstwa planuje w niedalekiej przyszłości budowę niewielkiego skansenu, a raczej, jak sam mówi: "odtworzonej zagrody edukacyjnej – łemkowskiej chyży, czyli drewnianej chaty, dwóch spichlerzy i młynu wiatrowego, w których starsi i młodszy poprzez aktywne spędzanie czasu będą mieli okazję samemu m.in. zrobić masło lub wyhaftować piękne, łemkowskie wzory zamiast oglądania 'martwych' przedmiotów".

Pomysł na postawienie oryginalnej zagrody edukacyjnej zrodził się wiele lat temu i wynika z potrzeby podtrzymywania łemkowskiej tożsamości na obszarze ich małej ojczyzny, która w okresie komunistycznego państwa w powojennych realiach stalinowskiej dykta-

tury przeszła próbę jej unicestwienia, a teraz zagrożona jest postępującym rozwojem cywilizacyjnym i emigracją młodych ludzi do miast. O potrzebie nauczania języka Łemków wśród młodzieży i jego roli w kształtowaniu świadomości następnych pokoleń przekonuje nas pani Danuta Dziubyna, nauczycielka z miejscowej szkoły w Gładyszowie, gdzie obecnie największa grupa dzieci w Polsce uczy się łemkowskiego. Pani Danuta w swoim dorobku naukowym ma również prace dotyczące języka przodków. "Niezwykle istotne jest, by rodzice od małego kształcili swoje dzieci w poczuciu przynależności etnicznej, niestety w praktyce nazbyt często zaniedbuje się nauczanie języka przodków", zauważa pan Jan i dodaje, że "to staje się przyczyną powstawania wśród młodych ludzi dylematów i poczucia wyobcowania pośród innych Rusinów".

Dlatego tak istotne znaczenie ma dla mniejszości łemkowskiej mieszkającej w Polsce postawienie tablic z nazwami miejscowości zapisanych cyrylicą w ich rodzimym języku obok polskich, w miejscowościach, gdzie mniejszość ta stanowi ponad 20% ogółu mieszkańców. O ten przywilej, jak dotąd bez rezul-

9



Pan Jan Dziubyna prezentuje oryginalne, łemkowskie przedmioty codziennego użytku.



1. Cerkiew w Gładyszowie.
2. Podczas rozmowy z panem Janem Kowalczykiem.
3. Rzeźba przed gospodarstwem agroturystycznym „Dziubynitka”.



10

tatu, ubiega się ledwie siedem wsi podkarpackich, a wśród nich Zdynia (po łemkowsku Ждиня, Ждиня) – “jedyna, w której sołtysem jest Łemko”, podkreśla z dumą pan Dziubyna i dodaje, że batalia o napisy tych kilku miejscowości w języku łemkowskim, w którą sam jest czynnie zaangażowany, trwa już kilka lat. Opieszakość urzędników i niechęć części miejscowych Polaków skutecznie opóźniają cały proces, podczas gdy na przykład Słowacy mają to już za sobą i na dowód zabiera nas do wsi Becherov po drugiej stronie granicy.

Odwiedzając dziś malowniczo położony Gładyszów, gdzie życie pośród beskidzkich wzniesień zdaje się płynąć zupełnie sielsko i spokojnie, a mieszkańcy są niezwykle gościnni i otwarci na przybyszów z kraju i zza granicy, aż trudno uwierzyć w to, co stosunkowo niedawno spotkało wieś i całą Łemkowszczyznę. By zrozumieć lepiej dramatyczny przebieg Akcji „Wisła”, czyli działań przesiedleńczych totalitarnego reżimu komunistycznego w Polsce, obejmujących m.in. Ukraińców i Łemków z terenów Polski południowo-wschodniej na tzw. Ziemię Odzyskaną tuż po zakończeniu działań wojennych, o podzielenie się z nami swoimi wspomnieniami poprosiliśmy jednego

z najstarszych mieszkańców wsi, doskonale pamiętającego tragiczne wydarzenia sprzed kilkudziesięciu lat.

“Przed wojną wszystko było tutaj łemkowskie”, wspomina pan Jan Kowalczyk, urodzony w Gładyszowie w 1928 roku, po czym dodaje, iż “we wsi było wtedy może ze dwóch Polaków, dopiero potem napływali tu do pracy”. Pan Kowalczyk ze wzruszeniem opowiada o czasach pokoju i dzieciństwie spędzonym we wsi, gdzie łemkowska młodzież z Polski i ze Słowacji spotykała się na granicy by wspólnie ze Słowakami i Polakami urządzać zabawy, bo jak żartuje starszy pan, “wtedy nawet katolicki ksiądz szedł do karczmy do Żyda czasem”. Ten obraz kraju lat dziecinnych przestanią jednak wydarzenia lat okupacji hitlerowskiej i jeszcze bardziej tragiczne w skutkach dla Łemków lata powojenne. Pytamy o rzeczywisty udział

Łemków w działaniach ukraińskich grup skierowanych przeciwko Polakom i tworzącej się władzy komunistycznej po drugiej wojnie światowej na tych terenach, pan Kowalczyk przyznaje, że osobiście słyszał tylko o jednym takim przypadku wśród łemkowskiej braci, natomiast potwierdza, iż cała jej społeczność padła ofiarą Akcji „Wisła” jako przemyślanego działania totalitarnego reżimu.



Łemkowie

Był dokładnie 7 czerwca 1947 roku, pan Kowalczyk doskonale pamięta ten dzień, kiedy całą jego rodzinę, podobnie jak innych Łemków ze wsi, na rozkaz polskich władz wsadzono do wagonów i przetransportowano najpierw do obozu przejściowego w Jaworznie, a następnie do wyznaczonego miejsca osiedlenia na terenach wcześniej przymusowo opuszczonych przez wypędzonych Niemców. Według szacunków, akcja przesiedleńcza trwająca do 1950 roku objęła niemal wszystkich obywateli polskich pochodzenia łemkowskiego, a pozostali tylko nieliczni. W przypadku pana Kowalczyka dzie sięć lat trwała rozłąka z rodzinną wsią, w której pozostawiony został cały dobytek wraz z gospodarstwem i ziemią. Pan Jan ożenił się i skorzystał z prawa powrotu na ojcowiznę w 1957 roku, jednak nie wszyscy Łemkowie chcieli i mogli powrócić na ziemię swych przodków, gdyż zajęte w znacznej części przez polskich osadników gospodarstwa były w zasadzie nie do odzyskania według ówczesnego prawa PRL przez ich pierwotnych właścicieli. Dlatego w Gładyszowie, podobnie jak w innych podkarpackich wsiach, do których wracali Łemkowie, przez wiele lat panowała atmosfera wzajemnej nieufności pomiędzy powracającymi z wygnania mieszkańcami a polskimi osadnikami, co niejednokrotnie prowadziło do konfliktów.

Dziś, na pierwszy rzut oka w Gładyszowie panuje zgoda pomiędzy Polakami i Łemkami, którzy stanowią we wsi mniejszość. Piękna, jeszcze przedwojenna cerkiew w centrum wsi, której budowę pamięta z dzieciństwa pan Jan Kowalczyk, jest prawdziwie ekumenicznym miejscem, w którym oprócz odprawiania mszy w obrządku grekokatolickim odbywają się msze katolickie. "To raczej wynika z przyczyn czysto praktycznych", przekonuje nas pan Dziubyna, jakkolwiek jest to wyraźny znak nowych czasów, dających nadzieję na pełne zrozumienie w dążeniu ku pojednaniu w wierze.

Charakterystyczna budowla cerkwi łemkowskich stanowi niezwykle istotny, wręcz nieodłączny filar jej kultury materialnej na przestrze-

ni wieków, podkreśla pan Jan Dziubyna, który zostaje naszym przewodnikiem po okolicy. Zdaje się, że dla tożsamości łemkowskiej mniej ważna jest nawet przynależność do kościoła katolickiego, prawosławnego, grekokatolickiego czy innego, wynikająca z zawirowań historii rodzinnych wplecionych w losy innych narodów. Bo Łemkowszczyzna na płóciennych obrazach i w wyobraźni rozsianych na całym świecie Łemków, jawi się jako ich mała ojczyzna przodków z łagodnymi pagórkami i małą cerkiewką pośrodku. O przeszłości przypominają też pomniki i cmentarze, a współcześnie organizowane są liczne festiwale promujące kulturę łemkowską w Polsce i za granicą. No i cyklicznie odbywają się łemkowskie watry, czyli ogniska-imprezy, które stają się niecodzienną okazją do spotkań Łemków, budzenia poczucia wspólnoty, przywołania tradycji lub po prostu często odwiedzenia ojczyzny przodków po wielu latach nieobecności w kraju. Swój udział w łemkowskiej watrze w Zduni zapowiedzieliśmy na przyszły rok, bo na Łemkowszczyznę na pewno jeszcze wrócimy nie raz. ■

11



Polsko!

Ojczyzno moja!

– Spotkanie z Litwinami z Puńska



72

Tak jakoś się złożyło, jak gdyby na przekór wszystkiemu, że losy Litwinów i Polaków na przestrzeni ich dziejów były i są ze sobą na wskroś mocno splecione. Potomków Bałtów i Słowian dzieli chociażby zupełnie odrębny, niezrozumiały język, a w przeszłości namieszały także źle rozumiane nacjonalizmy. Pobyt w Puńsku (po litewsku Punksas), przygranicznym miasteczku na Suwalszczyźnie, gdzie większość mieszkańców stanowi obecnie litewska mniejszość, uświadamia nam, że fizyczna granica między dwoma krajami jest w zasadzie niemożliwa do wytyczenia, jeśli w ogóle jest ona jeszcze komukolwiek potrzebna. Dla litewskojęzycznych mieszkańców Suwalszczyzny, tak jak dla wielu Polaków żyjących tuż za miedzą, na sąsiedniej Litwie, granica polityczna dziś zdaje się właściwie być pozbawiona sensu, bo przecież rodziny są po obydwu stronach, a Wilno w sercach jednych i drugich wzbudza podobnie emocje. W Puńsku na nowo zaczynamy rozumieć słowa inwokacji naszego

wieszczka, bowiem mickiewiczowska Litwa to złożona z fragmentów mała ojczyzna pozbawiona granic, która w symboliczny sposób skupia w sobie współtętnienie i współoddziaływanie dwóch narodów środkowej Europy.

O Puńsku trudno powiedzieć, czy że jest bardziej litewski czy polski, ale na pewno jest miasteczkiem wyjątkowym na tym skrawku państwa polskiego. Samo położenie pośród błękitu jezior i zieleni lasów, nieskażonych cywilizacją człowieka, nadaje mu swoistego uroku, a dodatkowym kolorytem napełnia unikatowa kultura, stanowiąca bogactwo jego gościnnych mieszkańców. Na ulicy, w sklepie, w szkole i kościele – wszędzie słychać litewski, bo chociaż jesteśmy ciągle w granicach Polski, w Puńsku mówi się i myśli po litewsku. Mieszkańcy miasteczka i okolic do teatru czy do kina zdecydowanie częściej wybierają się do Kowna lub Wilna niż do Białegostoku, ale „wycieczki po Polsce też są organizowane dla tutejszej młodzieży, bo przecież powinni oni znać swój kraj”,



przynajmniej wójt gminy Puńsk, Witold Liszkowski, który swój urząd sprawuje już trzynasty rok i dodaje: „językowo i kulturowo jesteśmy na Litwie, ale politycznie w Polsce (...). Moją ojczyzną jest Polska”. Mniejszość litewska na Suwalszczyźnie składa się na mozaikę kulturową Podlasia, która od wieków, obok Polaków, Rusinów, Tatarów, Niemców, a dawniej Żydów, buduje jej wielobarwny i żywy krajobraz.

Jak czują się Litwini mieszkający w Polsce? „W 99 procentach jesteśmy zadowoleni”, odpowiada na pytanie Witold Liszkowski, „jakkolwiek czasami czujemy się trochę jak zakładnicy polityków w Polsce i na Litwie” – wójt gminy Puńsk wskazuje na problemy, z którymi mniejszość litewska spotyka się na co dzień. W Puńsku, podobnie jak w kilku innych miejscach na Suwalszczyźnie, od dwóch lat istnieją tablice z nazwami miasteczek i wsi po polsku oraz po litewsku, co wywołuje zazdrość po drugiej stronie granicy wśród mniejszości polskiej i ich działaczy

na szczeblu lokalnym oraz państwowym, bowiem Polakom w Republice Litewskiej takiego przywileju nie przyznano. Podobnie jest z pisownią nazwisk z zachowaniem oryginalnej pisowni – Litwini mieszkający na terenie Rzeczypospolitej mogą korzystać z prawa zapisywania swych imion i nazwisk z zachowaniem reguł języka litewskiego, natomiast Polakom z Wileńszczyzny odmawia się oficjalnego używania polskich form nazwisk oraz imion. Nasz polski Adam Mickiewicz to dla Litwinów od zawsze tylko i wyłącznie Adomas Mickevičius.

O tym, że atrakcyjny medialnie spór, wykorzystywany przez niektórych działaczy skrajnych grup po obu stronach granicy dla celów politycznych, którzy w ten sposób chcą sobie pozyskać dodatkowe głosy poparcia, nabiera czasem na sile, przekonali się ostatnio mieszkańcy Puńska i okolic. Zamazanie litewskich nazw miejscowości na tablicach farbą białoczerwoną i pomazanie pomnika w skansenie w Puńsku jest aktem zwyczajnego wandaliz-

Głosy z Polski



Uszkodzone przez wandalów tablice oraz pomnik w Puńsku z napisami w języku litewskim.

74

zmu i w żadnym wypadku nie odzwierciedla prawdziwego stosunku świadomych Polaków do mniejszości, a tylko wywołuje niepotrzebne niepokoje wśród spokojnych mieszkańców, którzy przecież na Suwalszczyźnie od pokoleń żyją razem. Pojawiają się głosy, przede wszystkim wśród samej mniejszości litewskiej, aby dla zachowania spokoju zrezygnować z dwujęzycznych oznaczeń miejscowości. Czy jednak nie byłoby to krok wstecz w budowaniu zjednoczonej Europy bez granic? Ustępstwami wobec chuligańskich wybrków pseudo nacjonalistycznych grup lub nawet pojedynczych aktów wymierzonych w podstawowe prawa mniejszości dajemy milczące przyzwolenie tego typu karygodnym zachowaniom.

Pomysłem na przeciwdziałanie ksenofobii na Podlasiu ma być kampania społeczna, która będzie promowała przykłady dobrych relacji z mniejszościami w regionie – jej realizację zaplanowano już na jesień 2011 roku, a inicjatorami projektu jest przedstawiciel Rzecznika Praw Obywatelskich oraz Wojewoda podlaski. Takich pozytywnych przykładów współpracy na samej Suwalszczyźnie znajdziemy bardzo wiele, bo tych, którzy rozumieją, iż mniejszości narodowe i etniczne zamieszkujące region stanowią o jego bogactwie, takich ludzi jest zdecydowanie więcej. Puńsk jako nieoficjalna stolica polskich Litwinów w okresie wiosenno-letnim staje się prawdziwie 'kulturalną metropolią' z mnóstwem imprez kulturalnych,

festynów oraz pokazów bogatych litewskich tradycji, podczas których niezwykle gościnni i sympatyczni Litwini bardzo serdecznie witają Polaków i każdego, kto chce ich poznać.

Do niezwykle ciekawych i oryginalnych inicjatyw w regionie należy założone przed dwoma laty Stowarzyszenie Jaćwiesko-Pruskie, które stanowi grupa entuzjastów historii stawiająca sobie za cel promowanie wiedzy o Jaćwiegach i Prusach, bo jak przekonuje nas wiceprzewodniczący organizacji, Antoni Baudzis, „bałtycy pobratymcy Litwinów byli pierwsi na tych terenach”, zanim krzyżacki żywioł rozpoczął ich stopniowe wyniszczenie, a dokończyła je sławizacja i napływ litewskich osadników. „Tym, co przetrwało do czasów współczesnych jako spuścizna po tych dzielnych, bałtyckich ludach, są istniejące do dziś nadane przez Prusów i Jaćwiegów nazwy wielu jezior, rzek lub miejscowości na Suwalszczyźnie”, kontynuuje pan Antoni i dodaje z całym przekonaniem, że „tylko powrót do korzeni, tylko prawda historyczna nas [tj. Polaków i Litwinów - przyp. aut.] zbliży do siebie”.

By ocalić od zapomnienia pamięć o bohaterach Jaćwiegach i Prusach, miłośnik ich przeszłości oraz przewodniczący wspomnianego stowarzyszenia, Piotr Łukasiewicz we wsi Oszkinie (lit. Ožkiniai) pod Puńskiem realizuje swą prywatną inicjatywę - Jatawan-prusan waisi, czyli w wymarłym języku dawnych Prusów 'osada jaćwiesko-pruska'.



Fragment osady
jaćwiesko-pruskiej
w Oszkiniach koło
Puńska.



Jest to drewniano-kamienny kompleks składający się, m.in. z gródów, kurhanów, miejsca kultu i rytualnego basenu. Gotowe są już gródek-siedlisko pruskie, wartownia i wyłożony kamieniami basen rytualno-kąpielowy, strzeżony co prawda przez boga-węża Žaltisą, ale dostępny dla dzieci i dorosłych. Zadziwia rozmach prowadzonych prac, bowiem w Oszkiniach powstają nie prowizoryczne atrapy czy nieudolne kopie, ale odtwarzane pieczołowicie średniowieczne obiekty, których projekty konsultowane są z archeologami i historykami z Litwy. W przyszłości osada w całości służyć będzie turystom, oferując lekcje najczęściej nieznannej historii oraz oferując rozrywkę i wypoczynek.

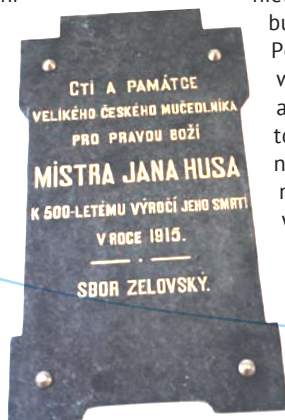
Przy okazji wizyty w osadzie mamy nadwyzczającą okazję uczestniczyć w niezapomnianym spotkaniu z grupą folklorystyczną z Kowna, która zaprasza nas do wspólnego biesiadowania przy stole, na którym obowiązkowo znajdują się koldunai, czyli litewskie kotduny. Najpierw są toasty po litewsku oraz po polsku, następnie po angielsku wzniesiony przez Davida, potem wspólny śpiew, a potem jeszcze życzenia, aby pokój i wzajemny szacunek zawsze panowały między naszymi krajami, Polską i jej "najbliższą, najdroższą siostrą, Litwą". ■

W Zelowie Krecik uczy o różnorodności – mniejszość czeska w Polsce

76

Paradoksem jest, że przedstawiciele jednego z najbardziej zlaicyzowanych narodów europejskich – Czechów – mieszkających w Zelowie od początku dziewiętnastego stulecia, spotykam w niewielkim kościele wyznawców kalwinizmu. Wokół kościoła koncentruje się życie religijne i kulturalne tej liczącej kilkaset osób społeczności. Kolejnym zaskoczeniem może być fakt, że Zelów to nie jest przygraniczna miejscowość na peryferiach państwa, lecz położony pod Łodzią, w samym centrum Polski, ośrodek przemysłu włókienniczego, oddalony od granicy z Republiką Czeską o kilkaset kilometrów. Dzisiaj, według jednego z sondaży przeprowadzonego wśród Polaków, Czesi są jedną z najbardziej ulubionych mniejszości narodowych. Tragiczny los, który spotkał naszych słowiańskich braci w Zelowie po drugiej wojnie światowej pokazuje, że wśród lokalnych społeczności wzajemne relacje nie zawsze można było nazwać poprawnymi.

Ale „trzeba zacząć od początku, bo historia czeskiego osadnictwa w regionie jest niezwykle interesująca”, przekonuje pani Wiera Pospiszył, przewodnicząca Stowarzyszenia Czechów z Zelowa, która razem z panem Karolem oprowadza mnie po tutejszym kościele i ulokowanym przy nim niewielkim muzeum. Dzieje tutejszego osadnictwa bardzo wiele nam dziś mówią o panujących dwustronnych stosunkach blisko spokrewnionych narodów. Bracia czescy ze względu na swe przekonania religijne musieli uchodzić z ojczyzny rządzonej przez nietolerancyjnych, katolickich Habsburgów już od końca XVI stulecia. Początkowo schronienie znajdowali w protestanckich Prusach, ale w momencie, gdy zaczęło się to wiązać z całkowitą ich germanizacją, rodacy Jana Husa kierunek swego osadnictwa zwrócili w stronę Dolnego Śląska i dalej na północny wschód, gdzie akcje wynaradawiania nie były wtedy silne. I w ten oto sposób, w 1802 r. niewielki majątek Zelów zakupili bracia czescy





1. Pamiątkowa tablica z kościoła w Żelowie.
2. Wnętrze kościoła w Żelowie.

jako „grupa wolnych ludzi”, co podkreśla pan Karol i tak dali początek pierwszego rozdziału w historii miasteczka.

„To nie przypadek, że nasz kościół wyglądem przypomina nieco cerkiew”, kontynuuje swą opowieść pan Karol i dodaje, iż „w ten sposób chciano przypodobać się carowi, który wydał zgodę na jego budowę ukończoną w 1825 r.” Istnieją dokumenty potwierdzające, że przy wmurowaniu kamienia węgielnego pod budowę świątyni uczestniczyli również przedstawiciele lokalnego kościoła

katolickiego oraz luterńskiego. A o tym, że ekumenizm nie jest wynalazkiem naszych czasów, poświadczają także księgi z okolicznej parafii katolickiej w Buczku, w której sakramentu chrztu czy małżeństwa udzielano tak samo wyznawcom kalwinizmu na początku XIX wieku, do czasu gdy Czesi weszli w posiadanie własnej świątyni protestanckiej. „Bo Żelów to doskonały przykład tolerancji religijnej”, co z dumą kilkakrotnie podkreśla pani Wiera. Pośród miejscowych od razu pojawili się Polacy, z czasem napłynęli też Żydzi i Niemcy. Ci ostatni ścignęli

Głosy z Polski

do miasteczka kapitał i tak powstały jedno z pierwszych zakładów włókienniczych w regionie łódzkim na przełomie lat 70. i 80. XIX stulecia, dając początek nowemu rozdziałowi w życiu jego mieszkańców.

Na pytanie o to, jak znaczący był wpływ czeskich osadników na początkowy rozwój jednego z największych regionów przemysłu włókienniczego na świecie przełomu XIX i XX stulecia, do dziś historycy nie potrafią jednoznacznie odpowiedzieć. „Z pewnością pracownicy protestanci z Czech przynieśli ze sobą na te polskie ziemie technologie tkactwa, które były wykorzystywane w pierwszych manufakturach i stały się asumptem dla rozwoju wielkich zakładów w okolicy”, przekonuje pani Pospiszyt i na dowód pokazuje starannie przechowywane eksponaty w przykościelnym muzeum, pochodzące z warsztatów pracy lokalnych tkaczy. „Tym, co wyróżnia kalwinów jest kult pracy i kult wiary”, kontynuuje moja przewodniczka i zabiera mnie w podróż historyczną do czasów Jana Amosa Komeńskiego, XVII-wiecznego pedagoga, filozofa i reformatora protestanckiego. Na tyłach kościoła urządzone bowiem salę lekcyjną z okresu, gdy żył i tworzył ten wybitny myśliciel pochodzenia czeskiego, toteż „często nasz ksiądz przeprowadza tu lekcje historii dla młodzieży”, informuje pani Wiera i pokazuje zgromadzone w salce przedmioty.

W przededniu wybuchu II wojny światowej 6-tysięczne miasteczko było, tak jak cała wielonarodowa II Rzeczpospolita, prawdziwym tygłem kultur i religii, gdzie obok dominujących kalwinów mieszkali polscy katolicy, luterkańscy Niemcy, baptyści oraz wyznawcy religii mojżeszowej. Przez pryzmat niewielkiego Żelowa dostrzegamy całe zło lat okupacji. Niczym w zwierciadle odbija się tutaj wybuch bezgranicznej nienawiści, który



ogarnął cały kontynent. Całkowitej likwidacji uległa wtedy lokalna ludność żydowska, a po wojnie do wyjazdu zmuszono społeczność niemiecką.

Po 1945 roku rozpoczął się również najtragiczniejszy okres w historii mniejszości czeskiej z Żelowa – szykanowani i często prześladowani przez lokalną, komunistyczną władzę, w pośpiechu opuszczali domy i ziemię, w której posiadaniu byli od pokoleń. Szacuje się, że do Czechosłowacji wyjechało około 90 % spośród tutejszej ludności pochodzenia czeskiego. W utopijnym imperium Hitlera ludzi podzielono na kategorie według narodowości, co nieuchronnie musiało prowadzić do lokalnych konfliktów na tle narodowościowym. Protestanci Czeši cieszyli się pewnymi względami, co budziło nieufność miejscowej ludności, ale reżim w zamian oczekiwał od nich całkowitego posłuszeństwa i często stosował wobec nich środki przymusu. Tuż po wojnie, w krajach odbudowywanych na wzór i podobieństwo imperium Stalina, takich jak Polska Ludowa, nie było miejsca dla mniejszości narodowych. Ucho-

dzący z Żelowa kalwini zostali rozproszeni po całej Czechosłowacji, wielu do końca życia nie pogodziło się z losem.

„Exodus powojenny Czechów z Żelowa był tragedią; tutaj pozostały resztki (...)”, wyznaje pani Wiera, po czym z optymizmem dodaje: „jakkolwiek współcześnie zdecydowanie więcej jest ludzi mądrych, którzy rozumieją, że bogactwo jest w różnorodności (...), że Żelów zaistniał dzięki mniejszości czeskiej”. Pani Wiera Pospiszyt aktywnie działa na rzecz popularyzacji czeskiej kultury na gruncie lokalnym, której centrum stał się tutejszy kościół ewangelicko-reformowany. Na poddaszu świątyni wyrasta Ośrodek Dokumentacji Dziejów Braci Czeskich, a oprócz wspomnianej sali lekcyjnej z czasów Komeńskiego, znajdziemy tu ciekawy zespół kartuszy, czyli ozdobnych obramowań dla tablic trumiennych, czy należącą do stałej ekspozycji, wystawę „V nouze o spaseni – Historia Husytyzmu i Braci Czeskich od zarania”, „Życie codzienne w Żelowie do 1939 r. w fotografii” oraz „Wczoraj, dziś i ... – 200 lat w Żelowie Parafii ewangelicko-reformowanej”, zawierające interesujące dokumenty oraz cenne fotografie. Garstka Czechów, która pozostała w miasteczku ma niełatwe zadanie ocalić od zapomnienia swą tożsamość, by w ten sposób udowodnić, że jest ona o wiele silniejsza niż okrutne totalitaryzmy, które nie mogły jej zniszczyć.

Niewielkie miasteczko odwiedził z nieoficjalną wizytą w 1998 roku sam prezydent Republiki Czeskiej, Vaclav Havel, „bo chociaż jest na końcu alfabetu, to odwiedzają go znamienici”, śmieje się pan Karol i opowiada liczne anegdoty z historii miasteczka, zawsze z poczuciem humoru, bo „Czesi są śmieszni i bezkonfliktowi”, kwituje. Pani Wiera dodaje również z uśmiechem: „w Polsce zdobyłam wykształcenie – jestem obywatelką Polski, ale duszę mam czeską i to mi wystarczy”.

Języka czeskiego można dziś uczyć się w Żelowie w zasadzie tylko w domu, ale w przedszkolu działającym przy miejscowej parafii, pani Pospiszyt wpadła na pomysł uczenia najmłodszych podstawowych słówek i wyrażen w swym języku podczas wyświetlania czeskich kreskówek, np. popularnego dawniej wśród najmłodszych „Krecika”, bo jak podkreśla „chcemy uczyć dzieci w ten sposób o różnorodności - nie na siłę, ale zachęcając je.” W planach jest jeszcze festiwal filmów czeskich, którego realizacji już nie możemy się doczekać, bo wszelkie inicjatywy przybliżające dziedzictwo kultury innych narodów wzbogacają nas samych. Kilka lat temu do miasteczka ściągnęli Holendrzy, również wyznania ewangelicko-reformowanego. Po mszy w kościele w centralnej Polsce przedstawiciele skądinąd dwóch najbardziej laickich narodów europejskich, spotykają się razem, rozmawiają, celebrować wolny od pracy dzień, bo praca to niezwykle ważny element w życiu każdego kalwina, o czym zapewniają mnie miejscowi Polacy, którzy zazwyczaj z szacunkiem mówią o swych protestanckich sąsiadach. ■

79



1. Kościół w Żelowie.
2. Spotkanie z panią Wierą Pospiszyt.

Orawskie melodie, spiskie opowieści - Słowacy z polskiej Orawy

20

Beskidy warto odwiedzić o każdej porze roku z wielu powodów, a ich wyjątkowość najlepiej wyrażają słowa artysty, Gustawa Morcinka, który tak niegdyś pisał: „... ktoś powiedział, że Tatry to gotyk, Beskidy zaś – barok. Ów barok widzimy nie tylko w kształcie Beskidów, lecz spotkać go można na całej tej ziemi. Skądkolwiek na nią spojrzeć, płynie w miękkich – falistych – łagodnych liniach, i płynie, zdawałoby się na skraj świata...”. Ale o wyjątkowości tego malowniczego regionu stanowią nie tylko piękne krajobrazy, ale przede wszystkim jego mieszkańcy i ich bogata kultura, bowiem obszar polskiego południowego pogranicza to prawdziwie unikatowa mozaika, powstała na skutek spotkania się tutaj w ciągu wieków wielu tradycji i narodów. Do nich z pewnością należą również i Słowacy, zamieszkujący dziś głównie niewielki skrawek Orawy oraz Spisza, które jedynie na skutek historycznych perturbacji znalazły się w granicach Rzeczypospolitej.

O tym, by przekonać się jak żyje się współcześnie jednej z najbardziej ulubionych przez Polaków mniejszości narodowej mieszkającej w ich kraju, wybieramy się do wsi Podwilk i Jabłonka na Orawie, w których od lat ludność pochodze-

nia słowackiego walczy o zachowanie tożsamości narodowej, a „jest to walka nierówna o przetrwanie z konsekwentnie postępującą polonizacją mieszkańców regionu”, przekonuje mnie pan Ludomir Molitoris, sekretarz generalny Towarzystwa Słowaków w Polsce, którego siedziba nieprzypadkowo znajduje się w Krakowie, „mieście, gdzie panuje względna tolerancja wobec obcokrajowców”, podkreśla pan Molitoris i dodaje z rozrzewnieniem: „Słowacy może i są lubiani w Warszawie czy w Szczecinie, ale niekoniecznie tam lokalnie, na Spiszu czy na Orawie, gdzie od pokoleń stanowią oni ludność autochtoniczną”. W polsko-słowackich niedomówieniach na pograniczu nie tyle chodzi o sympatie czy antypatie, co na przykład o domy kultury, których budowę miejscowym Słowakom skutecznie utrudniają niechętnie im władze lokalne. A szkoda, bo ich wkład w bogactwo kulturowe regionu jest nie mniejszy niż chociażby polskich górali.

Aby zrozumieć podłoże współcześnie występujących lokalnych nieporozumień należałoby sięgnąć do przeszłości regionu i zaszłości, jakie miały w nim dawniej miejsce. „Należące bowiem obecnie do Polski Spisz i Orawa to tylko niewielkie fragmenty znacznie większych regionów



historycznych o tej samej nazwie, rozciągających się po słowackiej stronie grzbietu Karpat”, o czym informują mnie najstarsi mieszkańcy pochodzenia słowackiego, których spotykam w oddziale Towarzystwa w Jabłonce. Przez stulecia, tak jak cała Słowacja, terytoria te stanowiły strefę wpływów austriackich oraz korony węgierskiej, będąc równocześnie pod silnym oddziaływaniem madyaryzacji. Sytuacja uległa zmianie po 1918 roku i powstaniu niepodległej Rzeczypospolitej oraz Czechosłowacji, których spór o niewielkie skrawki ziemi doprowadził do konfliktu pomiędzy dwoma słowiańskimi krajami i napiętych stosunków dyplomatycznych przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego.

Ostatnia wojna to szczególnie tragiczny dla mieszkańców Spisza i Orawy okres, gdyż zostali oni wciągnięci do bratobójczej walki. Naprzeciwko siebie stanęli z jednej strony lojalni wobec państwa polskiego obywatele pochodzenia słowackiego z przygranicznych rejonów i ci Słowacy, którzy oddali życie walcząc razem z Polakami w powstaniu warszawskim oraz żołnierze Republiki Słowackiej z drugiej strony, którzy wypełniając przymusowy sojusz z hitlerowskimi Niemcami dokonali od południa inwazji na Rzeczpospolitą, okupując w okresie wojennym sporne terytorium. W bitwie pod Monte Cassino Słowacy brali udział w walkach występując po obu stronach konfliktu. Wraz



22

z końcem okrutnej wojny nastał czas zemsty i kolejnych walk, tym razem obiektem szykan i ataków stali się mieszkańcy słowackich wsi, które z powrotem znalazły się w granicach Polski. To właśnie wtedy miały miejsce największe zbrodnie popełnione przez bandę „Ognia”, człowieka, którego nazwisko budziło i nadal budzi wśród, nie tylko słowackich, mieszkańców Podhala, jak najgorsze skojarzenia przywołując demony przeszłości. „Tym bardziej niezrozumiały jest dla nas fakt postawienia temu człowiekowi przed kilkoma laty pomnika w Zakopanem, bo władze innych miejscowości na to nie wyraziły zgody”, mówią z oburzeniem moi rozmówcy z Podwilka i Jabłonki. Dodajmy, że w uroczystości odsłonięcia pomnika uczestniczyły najwyższe władze Rzeczypospolitej z byłym prezydentem, Lechem Kaczyńskim, na czele.

Należy sobie zadać pytanie czemu, a raczej komu mają służyć tego rodzaju działania, wywołujące wśród lokalnej mniejszości niepokój oraz obawę przed postępującą w XXI wieku polonizacją, kiedy oficjalnie promuje się przeciwnie ideę Europy regionów w jej zjednoczonych strukturach z poszanowaniem prawa dla każdego do zachowania jego odrębności? W latach 50. ubiegłego stulecia powstała szkoła słowacka w Jabłonce, która dziś już jednak nie istnieje. Jest to rezultat zniechęcania miejscowej ludności do przyznawania się do odrębności i konse-

kwentna polityka tworzenia państwa jednolitego w Polsce. Jeżeli więc prawa przyznane przez większość dla teoretycznie słabszej mniejszości narodowej lub etnicznej są miarą demokracji, to w polskiej części Orawy i Spiszu sytuacja jest daleka od idealnej.

Jest rzeczą nie do przyjęcia, aby usuwano ślady istnienia odrębnej kultury czy tradycji, co z przykrością trzeba stwierdzić, ma miejsce w południowych rejonach przygranicznych, w państwie będącym członkiem Unii Europejskiej, organizacji roszczącej sobie prawo ochrony podstawowych praw każdej mniejszości. Z zażenowaniem słuchamy opowieści mieszkańców Podwilka o usunięciu przed kilkoma laty, bez wiedzy mieszkańców, krzyża Cyryla i Metodego z wieży miejscowych kościołów, widocznych symbolów obecności tutejszych Słowaków. Podobne odczucia wzbudza w nas historia usuwania tabliczek pisanych w języku słowackim z okolicznych cmentarzy i przydrożnych kapliczek. Wszystko to działo się za cichym przyzwoleniem lokalnych władz, spotkało się z obojętnością władz centralnych, wynikało z inspiracji administracji kościelnej i regionalnych działaczy prawicowych. Obowiązkiem członków społeczeństwa obywatelskiego, właśnie tych z Warszawy czy ze Szczecina, jest głośne i stanowcze wyrażanie sprzeciwu wobec tego typu karygodnych działań łamiących

Słowacy

1. Spotkanie ze słowacką mniejszością w Jablonce.
2. Pan Ludomir Molitoris – sekretarz generalny Towarzystwa Słowaków w Polsce.
3. Ośrodek Kultury Słowaków w Podwilku, wymaga remontu.



prawa mniejszości w ich własnym kraju, nawet jeśli bezpośrednio problem ich nie dotyczy, bowiem demokracja jest wspólnym dobrem, a nie tylko przywilejem wybranych, czy rządzącej większości.

Niezwykłe gościnni Słowacy ze Spisza i Orawy rozumieją, że bez wsparcia z zewnątrz mają niewielkie szanse na zachowanie odrębnej tożsamości, toteż robią, co mogą by ocalić od zapomnienia własną, unikatową kulturę poprzez jej promocję i prezentowanie przybywającym w tejsze strony gościom zarówno z Polski, jak i zza granicy. Państwo Prylińscy, gospodarze z Podwilka ze wzruszeniem wspominają dawniejsze czasy, gdy przez wiele lat współtworzyli amatorską grupę teatralną, w której sztuki grano wyłącznie w języku słowackim. „Próby odbywały się u nas w domu, na niewielkiej przestrzeni”, wspomina z uśmiechem pani Genowefa Prylińska, „ale spektakle dla publiczności miały miejsce na wielkich scenach w całej Polsce i ówczesnej Czechosłowacji”, dodaje mąż pani Genowefy i podkreśla z dumą: „podziwiał nas sam Wajda, nie dowierzając, że jesteśmy amatorską grupą z niewielkiej miejscowości”. Dziś pozostały pamiątki z tamtych lat, liczne fotografie, dyplomy, odznaczenia za wkład w rozwój słowackiej kultury i nadzieja u państwa Prylińskich, że znajdą się młodzi, którzy będą kontynuowali ich działanie

na rzecz podtrzymania świadomości narodowej. Gdyby wreszcie powstał wymarzony dom kultury słowackiej w Podwilku, na który tak niechętnie patrzą miejscowe władze, z pewnością byłoby to o wiele łatwiejsze.

„Budynek przeznaczony na ośrodek kultury w Podwilku był przed wojną szkołą słowacką, do którego uczęszczali miejscowe dzieci”, opowiada pan Krzysztof Pieronek, grający na skrzypcach piękne orawskie melodie w założonej przed kilkunastoma laty kapeli, „i z tego tytułu należy się on tutejszym Słowakom”, dodaje. Pan Krzysztof jest przekonany, że folklor jest ogromną szansą na rozwój regionu, z którego za pracą musiało wyjechać już wielu młodych ludzi. Sam ma na koncie liczne występy oraz udział w wielu konkursach w kraju oraz za granicą i jak podkreśla: „poprzez muzykę ludową przekazujemy następnym pokoleniom wiedzę na temat ich odrębności i tożsamości”. Przedziej czy później lokalne władze zrozumieją, że bogactwo i unikatowość Beskidów tkwią w ich zróżnicowanym folklorze i kulturowej mozaice, której integralną i nieodłączną część stanowią Słowacy, a może po prostu tutejsi, Orawianie. Oby tylko ten proces uświadamienia nie nastąpił za późno, gdy okaże się, że przez ignorancję i zaniedbanie bezpowrotnie pozbawiono nas istotnego fragmentu naszego wspólnego dziedzictwa. ■

Głosy z Polski

Feniks Z popiołów

z perspektywy
polskich
Żydów

26

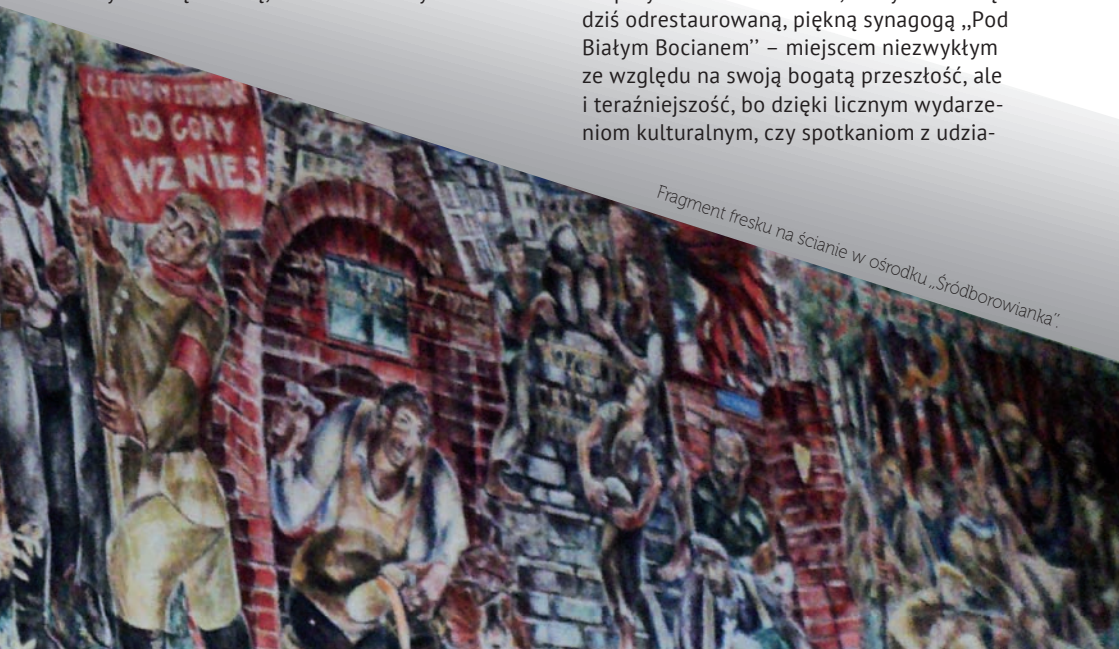


Siedemdziesiąt kilka lat i trzy pokolenia temu mieszkało ich w granicach Rzeczypospolitej ponad trzy miliony. Dziś szacunkowe dane mówią o populacji liczącej ledwie około dziesięć tysięcy osób. Przez wieki istnienia państwa polskiego, od czasów piastowskich poprzez czasy świetności i zniknięcia kraju z mapy Europy po jego ponowne odrodzenie w wieku dwudziestym, stanowili trzon, nieodłączny element kulturowy krajobrazu miast, miasteczek i wsi, jak Rzeczpospolita długa i szeroka. Dlaczego niemal wszyscy zniknęli z polskich ziem, unicestwieni kilkadziesiąt lat temu, bezpowrotnie zabierając ze sobą całe bogactwo i unikatową kulturę, wyjątkową tożsamość, do komór gazowych Auschwitz czy Majdanka, masowych mogił getta warszawskiego czy łódzkiego, o tym wie cały świat. Potem zostały już tylko cudem ocalałe fragmenty, których władza komunistyczna Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej postanowiła ostatecznie pozbyć się w 1968 roku. Na próżno, bo ludzie odeszli, ale w XXI wieku pamięć o nich przetrwała. Wszystko, co współcześnie nazywamy żydowską kulturą, dziś znów zaczyna kwit-

nąć nad Wisłą, Wartą i Odrą, bo to, że zdołała przetrwać hekatombę dwudziestego wieku stanowi o jej fenomenie i wielkości ludzi, którzy przez stulecia ją współtworzyli.

Dziś odtwarzana jest na nowo, z popiołów, gruzów i skrawków, starych przekazów i przypadkowo ocalałych pamiątek, odzyskiwana dla potomnych przeszłość narodu, która jest też naszą przeszłością, bo przecież historia milionów polskich Żydów, żydowskiej religii, związanej z nią bogatą tradycją i obyczajami, język jidysz, poezja Tuwima czy muzyka Szpilmana są nieodłączną częścią, istotnym elementem kultury Rzeczypospolitej, którą współtworzą zamieszkujące ją narody i grupy etniczne wielu języków i religii, nawet jeśli stanowią tak zwaną mniejszość. O tym, jak wiele czerpiemy współcześnie ze spuścizny wielokulturowego państwa możemy przekonać się chociażby podczas cieszących się ogromną popularnością licznych festiwali kultury żydowskiej i cyklicznych imprez, organizowanych stale na krakowskim Kazimierzu, ale i w wielu innych częściach naszego kraju. Na przykład we Wrocławiu, który chlubi się dziś odrestaurowaną, piękną synagogą „Pod Białym Bocianem” – miejscem niezwykle ze względu na swoją bogatą przeszłość, ale i teraźniejszość, bo dzięki liczным wydarzeniom kulturalnym, czy spotkaniom z udziałem

25



Fragment fresku na ścianie w ośrodku „Śródborowianka”.

Głosy z Polski

tem wielu gości z kraju i zza granicy, jest to miejsce na nowo tętniące życiem w samym sercu starego Wrocławia. A że nie tylko synagoga jest żywym świadectwem obecności rodaków Edyty Stein w mieście, przekonujemy się podczas spaceru po Wrocławiu z przewodnikiem zorganizowanym przez Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów (TSKŻ) w Polsce po miejscach, ściśle związanych z historią semickiego narodu nad Odrą.

Bez wątpienia należy do nich zabytkowy budynek, współcześnie mieszczący Scenę Kameralną Teatru Polskiego, przy ulicy Świdnickiej, który w latach 1949-1968 pełnił ważną funkcję – najpierw Teatru Żydowskiego, a po jego ostatecznym przeniesieniu w 1955 roku do Warszawy – ośrodka kultury i siedziby Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce. Nieprzypadkowo TSKŻ wybrał gmach teatru na miejsce zorganizowania I Dni Kultury Żydowskiej, pod nazwą „Żydowski Wrocław”, odbywających się w maju 2011 roku we współpracy z dyrekcją Teatru Polskiego i pod patronatem Ambasady Izraela w Polsce. Miejsce to bowiem w sposób symboliczny nawiązuje do relacji polsko-żydowskich, tego skomplikowanego związku dwóch wielkich narodów. Spektakle we wrocławskim Teatrze Żydowskim były manifestacją odradzającej się ze zgliszcz kultury z jednej strony i wyrażały zarazem bunt wobec wrogości ówczesznie panującej władzy totalitarnej. Poza tym, jak przekonuje mnie koordynatorka projektu, pani Magdalena Majstekiewicz, „teatr jest przestrzenią, metaforą, poprzez którą w doskonały sposób zaprezentować można kulturę i historię”.

Oprócz spaceru po Wrocławiu, w programie trzydniowych spotkań z kulturą żydowską znalazły się wykłady, koncerty i spektakle – prawdziwa uczta, podczas której każdy znajdzie coś interesującego dla siebie, bo jak stwierdza pani Magdalena: „współcześnie zainteresowanie szeroko pojętą kulturą żydowską staje się w Polsce modne (...),

a ludzie już nie mają obaw przy przyznawaniu się do żydowskiego pochodzenia.” Warto zaznaczyć, co podkreślali wielokrotnie i sami organizatorzy festiwalu, że podczas wrocławskiego wydarzenia, pojawiło się wiele ważnych elementów także ze współczesnej kultury kręgu języka jidysz oraz Izraela, która stanowi nieodłączną i nieprzerwaną ciągłość spuścizny narodu mojżeszowego. „Do nadrzędnych celów TSKŻ należy integracja środowiska w kraju oraz promocja świeckiej kultury żydowskiej”, podkreśla pani Majstekiewicz i dodaje: „nasze Towarzystwo realizuje swe cele m. in. poprzez współorganizowanie imprez takich jak „Żydowski Wrocław”, „Warszawa Singera”, przeglądów filmów żydowskich czy też aktywne zaangażowanie w Międzynarodowe Dni Pamięci Holokaustu.”

W Otwocku pod Warszawą, na zaproszenie pana Arnolda Henryka Alberta, Dyrektora Biura Zarządu Głównego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce, odwiedzamy ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy „Śródborowianka”, malowniczo położony wśród sosnowych lasów, na skraju Mazowieckiego Parku Krajobrazowego, będący własnością TSKŻ od lat 70. XX wieku. „Polska zawsze była krajem przyjaznym dla Żydów, bo inaczej by się w niej nie osiedlali, (...) przed wojną Polacy i Żydzi żyli w symbiozie, a współczesna polska młodzież nie jest antysemitką, jest bardziej wyedukowana”, zauważa pan Albert i dodaje: „państwo polskie jest jednym z największych sojuszników Izraela”, jakkolwiek: „przeciwstawianie się antysemityzmowi, który obecnie jest w Polsce bardziej ukryty, wciąż należy do priorytetowych działań towarzystwa”. Pan Albert wspomina o zdecydowanych protestach, jakie wyśtosował TSKŻ wobec antysemitkich haseł wznoszonych przez chuliganów na stadionach podczas meczów piłkarskich. Rozmawiamy też o akcjach zamalowywania nazistowskich symboli oraz antysemitkich haseł pojawiających się na murach i budynkach niektórych polskich

Żydzi

1. Spektakl w Teatrze Polskim podczas Dni Kultury Żydowskiej we Wrocławiu.
2. Ośrodek „Śródborowianka”.



miast: - „to jest tak zwany antysemityzm bez Żydów”, kwituje pan Henryk, bo, dodajmy, przypomina antyżydowską obsesję wśród niektórych jednostek w kraju, który tak wiele złego doświadczył, a na jego terenie miliony obywateli państw europejskich żydowskiego pochodzenia zostało zgładzonych przez hitlerowskich zbrodniarzy. Niemniej ważnym działaniem podejmowanym przez TSKŻ jest jednak współcześnie budowanie dialogu polsko-żydowskiego poprzez organizowanie licznych seminariów, spotkań, ale i kursów języka jidysz czy wycieczek dla grup z Polski, Izraela, USA i innych krajów, a „Śródborowianka” jest miejscem idealnym dla realizacji tych istotnych celów.

Dom TSKŻ w Otwocku jest miejscem bardzo szczególnym, bo jako ośrodek wypoczynkowy gości w swych pokojach niezwykłych mieszkańców, seniorów o żydowskich korze-

niach, którzy w tym wyjątkowym mikroklimacie mazowieckich lasów, otoczeni troskliwą opieką i przyjazną atmosferą, znaleźli schronienie w jesieni swego życia. Witają nas bardzo serdecznie i ochoczo podejmują z nami interesujące rozmowy, dzielą się bezcennymi wspomnieniami, opowieściami, historiami z życia, zwłaszcza dlatego, że nieliczni z nich pamiętają jeszcze czasy legionów Piłsudskiego, wielu przeszło piekło Holokaustu, szykany komunistycznego reżimu, niektórzy zmuszeni byli opuścić ojczysty kraj po wydarzeniach z 1968 roku, by do niego powrócić po latach tęsknoty i rozłąki. Niezwykłe bogate biografie z historiami niecodziennych doświadczeń i przeżyć, każdy z pensjonariuszy spokojnie mógłby rozdzielić pomiędzy życiorysy kilkorga dorosłych ludzi. Ale łączy ich, prócz wzajemnej przyjaźni, bardzo silne poczucie przynależności do miejsca, w którym się urodzili, gdzie się wychowywali, przeżywali chwile dobre i złe – Polska była, jest i pozostanie ich domem, jedyną, prawdziwą Ojczyzną. W Warszawie, Wrocławiu czy Bielsku-Białej nie czują się żadną mniejszością, są tu po prostu u siebie, w swoim domu. Przetrwali, bo mieli niezwykle szczęście w swym życiu, ale dali również tym samym dowód siły oraz wytrwałości wyjątkowego narodu. ■



W poszukiwaniu straconego kraju - Ormianie w Polsce

28

W obecnych czasach, gdy tak wielu Polaków wybiera życie poza granicami swojego państwa w poszukiwaniu lepszych perspektyw, czasem łatwo zapominaamy, że Rzeczpospolita, tak przed wiekami, jak i dzisiaj pozostaje nadal celem dla osadników z dalekich krajów. Zaliczają się do nich również Ormianie, najstarszy chrześcijański naród świata, który na ziemiach polskich szczyli się tradycją ponad 650-letniej obecności. Dla ścisłości, to Polska

przyszła do Ormian, bo za czasów Kazimierza Wielkiego znaleźli się w granicach państwa, po zajęciu przez niego Lwowa wraz z Rusią Halicką, gdzie było ich wówczas duże skupisko. Współcześnie mieszka nad Odrą i Wisłą kilkadziesiąt tysięcy osób pochodzenia ormiańskiego – liczba ta jest trudna do określenia, bowiem sama mniejszość jest grupą niejednorodną, którą tworzą zarówno polscy Ormianie od pokoleń zrośnięci ze swoją ojczyzną, tzw. repatrianci z dawnych Kresów, jak i współcześni Armeńczycy – obywatele



Katedra w Ani,
dawnej stolicy
Armenii, zwanej
kiedyś miastem
1000 i jednego
kościół.

Ormianie

zakaukaskiej republiki, którzy przybyli tutaj po upadku Związku Radzieckiego. Wielowiekowość, różnorodność, wielobarwność, bogactwo – tak można powiedzieć najkrócej o ormiańskim wątku na polskiej ziemi i narodzie go tworzącym – tak nam bliskim, ale wciąż czekającym na odkrycie.

Świetną okazją do poznania tak wspaniałej oraz unikalnej kultury stała się wystawa zatytułowana „Z widokiem na Ararat. Losy Ormian w Polsce”, zorganizowana przez Fundację Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich oraz warszawski Dom Spotkań z Historią, eksponowana w 2009 roku w stolicy, a następnie, w czerwcu i lipcu 2011 roku we wrocławskim Muzeum Etnograficznym z inicjatywy Towarzystwa Ormian Polskich na Dolnym Śląsku, którą odwiedziłem w czasie trwania pierwszych w mieście nad Odrą Dniach Kultury Ormiańskiej. Warto zauważyć, iż patronat honorowy nad wystawą objęli: Wojewoda Dolnośląski, Marszałek Województwa Dolnośląskiego oraz Prezydent Wrocławia. Współorganizowania ekspozycji podjęło się zaś Muzeum Etnograficzne w ramach cyklu „Mniejszości kulturą bogate” oraz przygotowana została ona w porozumieniu z „Kalejdoskopem Kultur. Festiwalem Mniejszości Narodowych i Etnicznych” we Wrocławiu.

Program Dni Ormiańskich w mieście nad Odrą, choć krótki, uznać należy za duży sukces jej organizatorów, a duża frekwencja wśród gości w trakcie trwania wystawy, zarówno tutaj, jak i w stolicy, pokazuje rosnące zainteresowanie kulturą wprawdzie daleką, bo orientalną, ale z drugiej strony w pewien nieuchwytny sposób bliską sercu Polaków. Spotkanie z tradycją Ormian to wydarzenie bardzo przemyślane, obfitujące w wiele wyjątkowych atrakcji, jak chociażby rozpoczynający je koncert niezwykle utalentowanej artystki z Armenii, Lusine Dżarahian. Obdarzona niesamowitym głosem, gdy bez żadnego podkładu muzycznego wydobywa

Występ Lusine Dżarahian podczas Dni Ormiańskich we Wrocławiu.



z siebie dźwięki stojąc na środku sali, wywołuje niecodzienne wrażenie u słuchaczy, które przenosi nas poprzez melodyjny śpiew daleko poza granice – jej ojczyzna staje nam się bliższa i namacalna. Podobne odczucia przywołuje ciepły, delikatny i nieco nosowy tembr duduka, drewnianego instrumentu pochodzącego z Armenii, którego ożywił dla publiczności aktor Sambor Dudziński w trakcie trwania Dni Ormiańskich. Dni Ormian okazały się nie tylko prawdziwą uczcą dla koneserów muzyki, lecz także dla smakoszy. W trakcie wydarzenia można było spróbować prawdziwych przysmaków kuchni ormiańskiej. Natomiast dla spragnionych wiedzy, przygotowana została prawdziwa uczta intelektualna w postaci wykładów poświęconych historii Ormian i spuściznie po ich wybitnych przodkach.

O polskich Ormianach, Armeńczykach, czyli obywatelach Republiki Armenii w Rzeczypospolitej i wystawie „Z widokiem na Ararat...” rozmawiam z jej kuratorem, panią Moniką Agopsowicz, która zauważa, iż najlepszym określeniem dla tej zróżnicowanej mniejszości jest mówienie o Ormianach w Polsce, po czym stwierdza: „praktykowanie wiary w obrządku ormiańskim pełni centralną rolę w podtrzymaniu ich tożsamości oraz odrębności”. Pani Agopsowicz podkreśla, że cechą charakterystyczną reprezentowanej przez

O tym, że nie zawsze przyznawanie się do niepolskiego pochodzenia w PRL było możliwe przekonuje mnie pani Romana Obrocka z Wrocławia, obecnie członek rady Fundacji Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich, wspominając również o wysiedleniach z Kresów, które dotknęły przecież nie tylko Polaków, ale tak samo mniejszości, jak tysiące rodzin ormiańskich wygnanych ze Lwowa czy tych zamieszkujących tereny Bukowiny. Dla wielu osób z pokolenia przymusowo wysiedlonych



THE EVOLUTION OF ARMENIAN ALPHABET					
PETROGLYPH	HIEROGLYPH	SYLLABIC	ALPHABETS		
			MEDIEVAL	MODERN	ARMENIA
			A	B	C
			D	E	F
			G	H	I
			J	K	L
			M	N	O
			P	Q	R
			S	T	U
			V	W	X
			Y	Z	

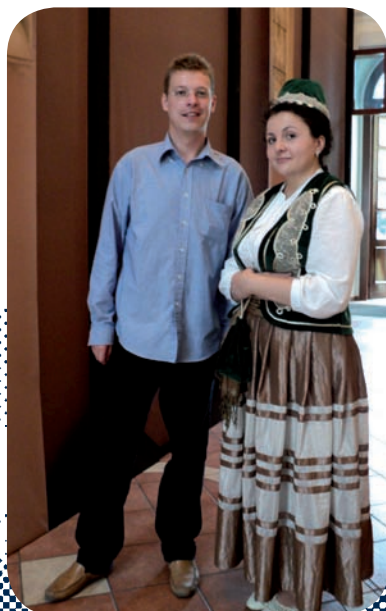
Ormianie

Ormian, Stanisławów czy Kuty są na zawsze utraconą małą ojczyzną, kto wie czy nie bliższą niż mityczna Armenia, a góra Owidiusz z okolic Kut budzi więcej sentymentalnych skojarzeń niż otoczony czcią, ale odległy Ararat. To swoiste poczucie zawieszenia w przestrzeni przez mniejszość najpełniej oddaje chyba wiersz polskiej Ormianki, Anny Danilewicz, poetki pochodzącej z Banikowa na Bukowinie, a po wojnie związanej z Dolnym Śląskiem, zatytułowany „Trzy Ojczyzny”:

*Trzy Ojczyzny mam, o jakaż ja bogata
W jednej jestem teraz, oraz moja chata
Gdzie rośnie wierzbą przydrożna i jarzębina
A zwie się ona „Polska Kraina”.*

*W innej ujrzałam świat, Matkę i słońce
Miałam przyjaciół, rwałałam kwiaty na łące
Rosły tam buki, sosny i dębiny
To cudny krajobraz rodzinnej Bukowiny.*

*O trzeciej słyszałam tylko opowiadanie
Ojców, dziadków i pradziadków bajanie*



*Że gdzieś hen daleko, za siedmioma rzekami
Ormiańska kraina zawisła nad górami.*

37

*Wyszli stamtąd proajce szukać równiny
Gdzieby chleb rósł, tam znaleźć rodzinę
Schować głęboko w sercu tęsknotę za krajem
Przyjąć inną mowę, inne obyczaje.*

*Jak teraz dzielić serce na troje, bez bliźny
Żeby nie skrzywdzić żadnej Ojczyzny*

*niech wszystkie razem będą w jednym sercu
Jak para małżonków, na ślubnym kobiercu.*

1. Goście mogli poznać alfabet ormiański
- 2.3. Podczas wydarzenia prezentowane były tradycyjne stroje kobiece z Armenii.

NAJMNIEJSZA MNIĘJSZOŚĆ – KARAIMI W POLSCE



Razem z mniejszością tatarską i ormiańską, Karaimi stanowią trwały element kulturowy tzw. polskiego Orientu – łączy je wspólny obszar pierwotnego zamieszkania – Krym, a także podobny los na terenach Rzeczypospolitej, po tym jak sprowadzeni zostali w wieku XV na tereny Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz niezwykle ciekawa, unikalna i wyjątkowa kultura. I choć przodkowie współczesnych polskich Tatarów oraz Karaimów mają wspólne pochodzenie tureckie, to od wieków odróżniała je religia – pierwsi to wyznawcy nauk Mahometa i wersetów Koranu, drudzy zaś propagowali powrót do czystej nauki Mojżesza i proroków zawartej w Torze. O tym jak mało wciąż wiemy o Karaimach, a co o tej wyjątkowej grupie nielicznych wiedzieć powinniśmy, czy łatwo być członkiem najmniejszej mniejszości w homogenicznej Polsce, w dodatku grupy o egzotycznie brzmiącej nazwie oraz o „portretach karaimskich ze zwierzętami” rozmawiam z panią Mariolą Abkowicz, przewodniczącą zarządu Związku Karaimów Polskich w RP.

Według powszechnego spisu ludności przeprowadzonego w Polsce w roku 2002, państwo to zamieszkiwało wówczas 43 Karaimów, „ale spis był niewłaściwie sporządzo-



12.3. Karaïmi i Karaïmki prezentują się podczas Kalejdoskopu Kultur we Wrocławiu.

ny”, ripostuje pani Mariola i dodaje: „jest nas tutaj trzykrotnie więcej, ale wiele osób ma trudność w jednoznacznym określeniu swojej przynależności etnicznej, gdyż pochodzi z małżeństw mieszanych”. W podobnej sytuacji znajduje się z pewnością znacznie więcej osób w kraju nad Wisłą i Odrą, których przyskładowo jedno z rodziców lub przodkówie są pochodzenia niepolskiego. Co decyduje o tym, że wciąż wiele z nich decyduje się na zaznaczenie tylko jednej opcji: ‘polska’, w rubryce narodowość, podczas spisu powszechnego w naszym kraju, pozostaje kwestią ciągle otwartą do poddania głębszej analizie.

Jakkolwiek, w przypadku mniejszości karaïmskiej, to nie ilość, ale właśnie jakość decyduje o wielkości i wyjątkowości tej jedynej w swym rodzaju tradycji, która przez sześć wieków była trwałym elementem pejzażu kulturowego kilku spośród miasteczek wschodnich kresów Rzeczypospolitej. Aby najbliżej odnaleźć żywe ślady obecności Karaïmów „musimy odwiedzić Troki na Litwie, gdzie istnieje do dziś ulica karaïmska”, podpowiada pani Abkowicz i zaczyna krótką opowieść długich dziejów swojej rodziny, która podzieliła los wielu członków społeczności karaïmskiej opuszczając po ostatniej wojnie swoje domy na Kresach, które decyzją Stalina i za zgodą

zachodnich aliantów znalazły się w granicach państwa radzieckiego. „Troki to moja mała ojczyzna, gdzie najchętniej spędzam czas” – wyznaje pani Mariola – „ojczyzna została po tamtej stronie granicy (...), trzeba było porzucić siedziby, cmentarze, świątynie”. Choć nieliczni z nielicznych zostali na ojcowiznie, Karaïmi z Łucka i Halicza też w większości ewakuowali się do powojennej Polski, głównie do Warszawy, Gdańska, bądź, tak jak w przypadku rodziny przewodniczącej Związku Karaïmów, do Wrocławia, na tzw. Ziemię Odzyskane.

Wędrowka jest wpisana w tożsamość karaïmską, bowiem wyznawcy karaïzmu rozpoczęli ją około VIII wieku z obszaru Mezopotamii, gdy reformator i odnowiciel zasad wiary mojeszowej, Anan z Basry wystąpił przeciw nauczaniu talmudystów, stanowiącego jeden z filarów współczesnego judaizmu. Swych wyznawców wielki myśliciel znalazł wkrótce nie tylko na Bliskim Wschodzie, ale też w wielu miejscach wokół basenu Morza Śródziemnego, skąd, poprzez Krym, dotarli oni na obszar Rzeczypospolitej, sprowadzeni przez księcia Witolda w celu ochrony pogranicza litewsko-krzyżackiego. Karaïmi, podobnie jak Żydzi, rozproszeni na całym świecie, żyli i nadal pozostają w diasporach, gdzie silnym



34

czynnikiem poczucia odrębności i tożsamości jest religia. Ale, jak zauważa pani Abkowicz, „różnice pomiędzy wyznawcami nauk Mojżesza są istotne – Żydzi identyfikują siebie wpięrow poprzez religię, potem jako naród, natomiast Karaimi tylko poprzez religię”, i dodaje „nigdy nie uprawiali oni wielkiej polityki i nie dążyli też do utworzenia własnego państwa, nie wysuwali roszczeń (...). Zapewne dlatego i jeszcze z powodu niewielkiej liczby członków społeczności, tak chętnie Karaimi byli często w przeszłości stawiani przez polskie władze jako przykład dobrego traktowania przez nie mniejszości narodowych” – kwituje żartobliwie moja rozmówczyni.

Szacuje się, iż obecnie na całym świecie jest kilka tysięcy wyznawców karaimizmu, od USA, poprzez Izrael, gdzie jest największe ich skupisko, i dalej przez Bliski Wschód i Europę, po Rosję i Krym na Ukrainie, gdzie żyje ich blisko tysiąc osób. Oczywiście, setki lat historii i dystans tysięcy kilometrów, granice państw oraz systemów, w których przez wieki żyli, sprawiły, że wyznawcy karaimizmu, choć stosunkowo nieliczni, nie są wewnątrznie jednolitą grupą. Przez to jeszcze bardziej interesującą, stając się tym samym dostojnie przedmiotem badań różnych jednostek i grup, o czym przekonała się pani Abkowicz, która wspomina z gorzką ironią o jednym z absur-

dalnych pomysłów na przygotowanie wystawy portretów karaimskich ze zwierzętami; ludzie doszukują się egzotyki, czegoś niemal nadprzyrodzonego wśród małej społeczności: „zawsze padają te same pytania”, wyznaje pani Mariola, dodając: „I choć są one po prostu wpisane w nasze życie (...), nie zawsze jest łatwo być reprezentantem najmniejszej mniejszości. Karaimski zespół folklorystyczny składa się z ośmiu młodych osób, co stanowi 99 procent naszej młodzieży – bycie Karaimem bywa czasem męczące...”

Paradoksalnie, Karaimi w Polsce są relatywnie bardziej aktywni od pozostałych grup jeśli chodzi o podtrzymanie tradycji i przekazywanie historii przodków, a przewodnicząca ich związku, oprócz licznych kontaktów zagranicznych, jest osobą czynnie zaangażowaną również w projekty dotyczące mniejszości narodowych i etnicznych mieszkających w naszym kraju w ogóle. Na barkach nielicznych spoczywa ogromna odpowiedzialność kontynuowania obyczajów przodków i propagowania wiedzy na jej temat wśród społeczeństwa, w którym żyją. Chyba mało kto wie, że początki i rozpowszechnienie uprawy ogórków na terenie Rzeczypospolitej tradycja przypisuje właśnie osiedleńcom przybyłym z Krymu, w tym Karaimom – po dziś dzień odgrywają one centralną rolę w ich rodzinnej kuchni, zresztą tak samo jak w polskiej. Podobnie, nielicznym znana jest odpowiedź na pytanie dlaczego tradycyjne karaimskie domy na Litwie posiadały zawsze trzy, a nigdy dwa albo cztery, okna od strony ulicy; „bo jedno jest dla Karaima, drugie dla księcia Witolda, a trzecie dla Pana Boga”, moja rozmówczyni uchyla rąbką tajemnicy. Odkrywanie niezwykłych wątków i elementów każdej obcej kultury zawsze jest dla nas fascynujące, chyba tak samo budzące zdumienie jak przekonanie się, że tą „obcą” kulturą nie tworzą wcale obcy, ale członkowie mniejszości, pozostający obywatelami Polski, mieszkańcy naszych osiedli i wiosek, nasi sąsiedzi. ■

Ukraińcy

Razom nas bahato...

- mniejszość ukraińska z Wrocławia

Jak to często bywa w rodzinie, Polacy i Ukraińcy mają za sobą długą historię braterstwa, rywalizacji, czasem okrutnej wojny. Na początku XXI wieku, obydwa bliskie sobie narody, po długich latach nieufności i wzajemnych pretensji, ciesząc się z wywalczonej niezależności, znów dążą do pojednania. Niech jego symbolicznym wyrazem i kolejnym krokiem naprzód będzie wspólna organizacja mistrzostw Europy w piłce nożnej w roku 2012. Stając wobec zadań nowej rzeczywistości, mniejszość ukraińska mieszkająca w Polsce, a więc obywatele Rzeczypospolitej i Unii Europejskiej, może odegrać szczególną rolę, stając się prawdziwym pomostem w dialogu ponad granicami wschodniej części naszego kontynentu – granicami, które też kiedyś zanikną. Ale żeby stało się to możliwe obie strony muszą zrozumieć bezprecedensową szansę, która być może przed nimi otwiera nowe możliwości współpracy i rozwoju.

Między Nysą Łużycką a Bugiem mieszka ich obecnie kilkadziesiąt tysięcy i są bardzo zróżnicowaną grupą; po ostatniej wojnie i tragicznej akcji „Wista”, gdy zostali celowo rozproszeni po całym kraju, ukraińska tożsamość przetrwała, a dziś jest podtrzymywana, w cerkwiach, w szkołach i ukraińskich

domach kultury, podczas licznie przez nich organizowanych imprez kulturalnych oraz festiwalach. Wielu z przymusowo wysiedlonych trafiło na Dolny Śląsk, a o tym, że wśród starszego pokolenia pamięć o krzywdzie jest wciąż żywa rozmawiam z panem Igorem Salomonem, prezesem Koła Związku Ukraińców we Wrocławiu, które w 2011 roku obchodzi swoje 55-lecie:

„pamiętam jeszcze czasy, gdy byłem tutaj nazywany faszystą, banderowcem, bo chciałem, by moje dziecko uczyło się ukraińskiego (...), do dziś istnieje jakiś krzykliwy margines, który wznieca hasła antyukraińskie”. Jak zauważa dalej pan Salomon, media, tak lokalne, jak i państwowe, nie poświęcają wystarczająco dużo miejsca problemom mniejszości ukraińskiej:

„spotykamy się wręcz z ich ignorancją (...), nasz wysiłek i działalność nazywają niszowymi wydarzeniami”, podkreśla mój rozmówca.

35

ukraiński strój ludowy





36

Pozyskanie przychylności polskich urzędników oraz wszechobecna biurokracja sprawiają, że otrzymanie środków finansowych przez Koło Ukraińców na rozwój prowadzonej przez nich działalności jest bardzo utrudnione. Oficjalnie władze na najwyższych szczeblach państwowych i lokalnych gwarantują prawa oraz przywileje mniejszościom, jakkolwiek w praktyce wygląda to nieco inaczej: „dla przykładu Kalejdoskop Kultur [cykliczna impreza odbywająca się we Wrocławiu, promująca różnorodność mniejszości narodowych i etnicznych – przyp. aut.], w który Związek Ukraińców czynnie się angażuje, wciąż spotyka się z niewystarczającym zainteresowaniem ze strony mediów oraz państwowych instytucji”, zauważa prezes wrocławskiego koła. A szkoda, bo pośród lokalnej ukraińskiej młodzieży tkwi ogromny potencjał, który wymaga aktywnego wsparcia. W siedzibie Koła Ukraińców odbywają się między innymi próby gry na bandurze, pięknie brzmiącym ukraińskim instrumencie ludowym – zespół młodych dziewczyn przygotowuje się tutaj do występu podczas Kalejdoskopu Kultur: „gra na bandurze jest dla mnie ważna, bo w ten sposób okazujemy przywiązanie do tradycji naszych przodków”, przyznaje jedna z nich. „W młodzieży nasza przyszłość”, stwierdza pan Igor Salomon i dodaje:

„różnica w mentalności pomiędzy pokoleniem starych i młodych członków mniejszości ukraińskiej jest już bardzo wyraźna, co pozwala nam być optymistami”.

W ciągu ostatnich kilku lat, tak we Wrocławiu, jak i w pozostałych ośrodkach uniwersyteckich na terenie całego kraju, pojawiła się, oprócz osób przyjeżdżających tutaj w celach zarobkowych, duża grupa studentów z Ukrainy – mogą uczyć się w Polsce dzięki stypendiom i specjalnym projektom, a wielu z nich osiedla się tutaj po studiach na stałe, podejmując pracę oraz przyjmując polskie i europejskie obywatelstwo. Jakkolwiek, ostatnie zaostrzenia w przepisach, ale i nieprzychylność urzędników dla cudzoziemców przybywających do Rzeczypospolitej sprawiły, że otrzymanie karty pobytu w Polsce jest coraz bardziej skomplikowane i utrudniane. Ponadto, mniejszość ukraińska jest tutaj wciąż mało zintegrowana, a o tym, że przybywający z zachodniej granicy studenci niekoniecznie widzą sens nawiązania z nią kontaktów rozmawiam z jednym z ich przedstawicieli.

Jurij pochodzi spod Charkowa we wschodniej Ukrainie, a od trzech lat studiuje na Politechnice Wrocławskiej. Umożliwił mu

1. Dzieci w ukraińskich strojach ludowych podczas Kalejdoskopu Kultur.
2. Podczas Kalejdoskopu Kultur zaprezentowano grę na bandurze – ukraińskim instrumencie ludowym.
3. Spotkanie z Jurijem.



to program „Teraz Wrocław” skierowany do studentów ze Wschodu, którzy nie posiadają polskich przodków. „Generalnie Ukraińcy bardzo niewiele wiedzą o Polsce; często wyobrażają ją sobie jako ziemię obiecaną i często się rozczarowują (...), z pewnością Polacy więcej interesują się sprawami Ukrainy”, stwierdza mój rozmówca i dodaje, że podczas „pomarańczowej rewolucji” gesty solidarności społeczeństwa polskiego z walczącymi o demokrację Ukraińcami były bardzo dobrze przez nich odbierane. Jurij zaskakuje mnie informacją, iż miał wówczas okazję poznać członków wrocławskiej Pomarańczowej Alternatywy – ruchu happenin-gowego „krasnołudków”, którzy w latach szarżyny komunistycznej PRL, poprzez parodię i surrealistyczne hasła obnażali absurdy totalitarnego systemu i skłaniali partyjny beton do myślenia, a podczas „pomarańczowej rewolucji” „wrocławskie krasnołudki” przemierzały Ukrainę specjalnym pojazdem, wspierając naszych braci ze wschodu w walce o demokrację.

Zainteresowaniem Jurija jest etnografia i ukraiński folklor ludowy, o którym potrafi mówić godzinami; Ukrainę zwiedził wzdłuż i wszerz, a obecnie mieszka w Polsce, gdzie być może zostanie. Aktywnie angażuje się we Wrocławiu w projekt Żywej Biblioteki, w której występując jako Ukraińiec, pragnie przełamywać stereotypy i uprzedzenia, chociaż jak sam przyznaje: „lubię, gdy ludzie zadają mi bardziej skomplikowane pytania, poprzez które mogę przybliżyć im Ukrainę, jej tradycje”. Jurij, podobnie jak inni przybywają-

cy studenci zza wschodniej granicy bardziej integruje się z polskim społeczeństwem niż z mniejszością narodową; nie widzi w tym specjalnie sensu, a na szczególną pomoc w adaptacji do nowych warunków ze strony lokalnego ukraińskiego środowiska nie może za bardzo liczyć. „Zespół dziewczyn bardzo pięknie gra na bandurach, ale instrumentem tym na Ukrainie pierwotnie posługiwali się wyłącznie mężczyźni – tutaj wytworzyła się specyficzna kultura Ukraińców z Polski”, zaznacza mój rozmówca. To naturalne, że dla pokoleń urodzonych poza krajem dziadków i pradiadków, małą ojczyzną będzie miasto, w którym się wychowywali, kształcili, ale może nowe fale imigracji przypomną im o korzeniach, a kontakt może być tylko z korzyścią dla wszystkich stron. ■



Za wolność naszą i waszą

38

– rozmowa
z Białorusinką
w Polsce

Kilkadziesiąt tysięcy Białorusinów, żyjących od wielu pokoleń w południowo-wschodniej części województwa podlaskiego, posiada dziś te same prawa, które przysługują pozostałym mniejszościom narodowym i etnicznym zamieszkującym terytorium Rzeczypospolitej. Funkcjonują tutaj liczne stowarzyszenia oraz organizacje mniejszości białoruskiej, wydawane są czasopisma, popularnością cieszą się organizowane przez nie imprezy kulturalne i festiwale,

a cerkwie i szkoły pozostają ostoją białoruskości. Jakkolwiek, coraz częściej na ulicach Warszawy i innych dużych miast Polski spotykamy Białorusinów, którzy przyjechali tu całkiem niedawno, na studia albo w poszukiwaniu lepszego życia poza ojczyzną pogrążoną w niedemokratycznym reżimie. Wtopieni w społeczeństwo, rozpoznawani tylko wtedy gdy przemówią z charakterystycznym akcentem – „anonimowi imigranci ze wschodu”, tzw. Ruscy wciąż są naznaczeni funkcjami wśród Polaków różnymi stereotypa-



Podczas rozmowy z Aleną.

mi i uprzedzeniami. W gruncie rzeczy są tacy sami jak przeciętny Kowalski. A niektórzy z nich z pewnością wyrastają ponad tę przeciętność.

Alena ma trzydzieści lat, jest Białorusinką i lesbijką. Pochodzi z Mińska, a w Polsce mieszka od sześciu lat; pracuje tutaj w dużej firmie i jest czynnie zaangażowana w walkę o przestrzeganie praw człowieka. Jak przyznała w rozmowie ze mną nigdy nie spotkały jej tutaj praktycznie żadne przykrości z powodu narodowości, ale gdy chodzi o orientację seksualną, tak. „O tym, że w Polsce funkcjonuje stereotyp kobiet ze wschodu, które przyjeżdżają tu wyłącznie w poszukiwaniu męża, dowiedziałam się całkiem niedawno od jednego dziennikarza, który spytał mnie jak się tutaj czuję”, wyznaje Alena, dodając: „w opinii wielu Polaków nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy mieszkańcami republik

byłego ZSRR, dla nich jest to bliżej nieokreślony Wschód (...), a gdy mówię, że pochodzę z Białorusi, Polacy często pytają, z którego miasta na Ukrainie jestem”. Bez wątpienia nasze stereotypy i uprzedzenia wynikają z medialnej papki: w serwisach informacyjnych o Białorusi mówi się niemal wyłącznie w kontekście dyktatury Łukaszenki, biedy i łamania praw tamtejszej mniejszości polskiej – „bo to smutna prawda”, stwierdza Alena i kontynuuje: „ale to tylko fragment, nie oddający prawdziwego obrazu życia w moim kraju”. Moja rozmówczyni wspomina przyjaciół i kwitnące życie nocne Mińska, czyste, zadbane ulice i wspaniałe parki białoruskiej metropolii, których brakuje jej na obczyźnie.

W opinii Aleny Polacy, w przeciwieństwie do Białorusinów, są bardzo świadomi swojej tożsamości narodowej oraz historii, o której



Kapela
z Nowogródka
(1926), Założona
przez Ryhora
Szymę,
który walczył
o tożsamość
białoruską na
ówczesnych
kresach RP.
Źródło:
[belarusguide.com/
culture1/music/
Shyma.html](http://belarusguide.com/culture1/music/Shyma.html)

40

potrafią rozprawiać godzinami: „na Białorusi podręczniki do historii pisane są od nowa niemal co roku, (...) prawda jest trudna tam do uchwycenia”, zauważa moja rozmówczyni i stwierdza, że na chwilę obecną nie widzi możliwości zmiany sytuacji politycznej w jej kraju, chyba, że drogą nagłej rewolucji. „Podoba mi się, że Polacy mają takie wspiane wzory oporu wobec władzy, tak samo fascynuje mnie tutejsza swoboda, możliwość działania, którą odczuwam zawsze zaraz po przekroczeniu granicy państwowej”, przyznaje Alena i opowiada, że gdy pierwszy raz uczestniczyła w Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy była tak niezwykle wzruszona akcją, spontanicznymi gestami Polaków, że miała łzy w oczach. Jako osoba przebywająca w Polsce stosunkowo od niedawna dostrzega jednak pewne nasze słabości, bo „z drugiej strony, wolność i ochronę ze strony państwa Polacy często uważają za coś oczywistego, a przecież nie jest ona nam dana, tylko wywalczona, o czym wiedzą Białorusini”, podkreśla Alena. „Trochę udzielałam się politycznie na Białorusi, chodziłam na demonstracje”, przyznaje Alena wspominając o zatrzymaniach przez milicję i dodaje: „ale dopiero tutaj poczułam, że mam prawa i wolności, dlatego tak aktywnie namawiam Polaków do brania spraw w swoje ręce i działania”.

Na pytanie o swoją działalność w Kampanii Przeciw Homofobii, Alena stwierdza, że jest to innego rodzaju batalia o wolność i swobodę – nie z władzą, ale z nietolerancyjnym fragmentem społeczeństwa, który podstawowym praw i szacunku odmawia osobom o odmiennej orientacji niż heteroseksualna: „z punktu widzenia prawa polskiego i opinii społecznej to większą dyskryminację dostrzegam przynależąc do mniejszości seksualnej niż narodowej”, jednoznacznie stwierdza Alena i kontynuuje: „widoczność jest najlepszym sposobem na walkę z homofobią; osoby homoseksualne powinny się ujawniać, nie mogą dać się zastraszyć (...), ich lęk w Polsce jest raczej wygodnictwem”. Moja rozmówczyni czynnie angażuje się w organizowanie Marszy Równości propagujących tolerancję oraz szacunek wobec różnorodności, ale tak samo bierze udział w demonstracjach organizowanych przez stowarzyszenia broniące praw kobiet, happeningi ekologów, podpisuje petycje – Białorusinka bezustannie przypomina i uświadamia Polakom przysługujące im prawa obywatelskie, dlatego, że z autopsji wie, czym jest ich ograniczenie – i właśnie dlatego wyrasta ponad przeciętność, a przecież korzysta ‘jedyne’ z przysługujących nam swobód. ■

Wrośław, Puste Wzgórza i Sputnik nad Polską, czyli mniejszość rosyjskojęzyczna w kraju nad Wisłą i Odrą

Migawki z „Pustych Wzgórz”.

Często się słyszy, że Polacy nie lubią Rosji - nie lubią, bo jej nie znają, a nie chcą jej poznać, bo jej nie lubią. Za co? Za rozbiory, które zabrały im wolność, za rusyfikację i katorgi na Sybirze, morderczy komunizm, bezwzględny stalinizm, chory imperializm, i dalej: za łagry i kołchozy, Katyń, Charków, Miednoje oraz Smoleńsk. Lista negatywnych skojarzeń z mocarstwem ze Wschodu jest długa, bo i długa jest historia mordów, krzywd, wzajemnej nieufności, ruso- i polonofobii, które zbyt wielu ludzi podsycalo. Jakkolwiek, pod pewnym względem stosunek Polaków do słowiańskiej potęgi można nazwać „schizofrenicznym”, bo jak zauważa moja rozmówczyni, pani Krystyna Zawadzka: „w narodzie polskim, obok silnie ukształtowanego postrzegania Rosji jako państwa totalitarnego, istnieje równocześnie ogromny szacunek dla jej wielkiej kultury; do XIX wiecznych klasyków rosyjskich – czołów-

ki światowej literatury, wybitnych muzyków, twórców oraz artystów”. I tyle o Rosji wiemy, a to i tak więcej niż jej obywatele chcą wiedzieć o nas, bo jak dodaje moja rozmówczyni, która sama jest Rosjanką: „z perspektywy wielkiego państwa położonego w Eurazji, Polska jest widziana jedynie jako kraj tranzytowy, wcale niekoniecznie postrzegany jako równorzędny partner do dialogu”. Cóż, na wielkość terytorium niewiele poradzimy, ale



być może aktywna działalność mniejszości rosyjskiej nad Wisłą i Odrą przyczyni się do popularyzacji dialogu polsko-rosyjskiego i poznania siebie nawzajem, po prostu od tego zaczniemy.

42 "Wrocław (pochodzi z połączenia wyrazów Wrocław oraz Rosja – przyp. aut.) jest projektem autorskim, prowadzonym od trzech lat przez trzy osoby z Wrocławia (...); dwóch Polaków i mnie, Rosjankę" – pani Krystyna Zawadzka od 12 lat mieszka w Polsce, gdzie przyjechała na studia z dalekiej i zimnej Syberii... – „I do tego jeszcze miejsca zsyłki Polaków – to automatyczne skojarzenia, z którymi zawsze się tutaj spotykam, a w rzeczywistości jest inaczej”, stwierdza krótko moja rozmówczyni. Czasem bywa drażniące, to ograniczone postrzeganie byłego Związku Radzieckiego jako jednego monolitu, bliżej nieokreślonej całości i jak przyznaje pani Krystyna, rzadko kto w Polsce zaskoczył ją świeżym, obiektywnym spojrzeniem na Rosję; „Polska jest wciąż hermetyczna”, stwierdza Rosjanka i dodaje: „w latach 90. nastąpił tutaj absolutny zanik rzetelnych informacji na temat nowości zza wschodniej granicy, co spowodowało swego rodzaju izolację informacyjną, (...) szczególnie młodzi ludzie to odczuwają, którym rodzice przekazywali w większości negatywne stereotypy o Rosjanach (...)”. Alternatywą dla



młodych, którzy chcą tutaj myśleć samodzielnie miał być właśnie *Wrocław*, niezwykle interesujący projekt, który postawił sobie za cel promowanie szeroko pojętej kultury kręgu rosyjskojęzycznego, skupiając się na awangardzie. To taki wstęp do dialogu ponad granicami narodów i państw, a organizowane spotkania z rosyjską literaturą współczesną czy kinematografią ze wschodu są jego integralną częścią.

Stosunkowo niewielka mniejszość rosyjskojęzyczna w Polsce, raczej słabo zintegrowana, skupiająca się w Warszawie i innych większych miastach, to przede wszystkim ludzie starszych generacji, dlatego szansą na jej aktywizację mogłoby stać się młodzi, przyjeżdżający tu ze wschodu na studia czy w celach zarobkowych, a którzy decydują się osiąść w Rzeczypospolitej na stałe. Dla takich niezależnych inicjatyw jak *Wrocław* wciąż brakuje wsparcia ze strony polskiej, które ogranicza się jedynie do oficjalnych deklaracji. To ciągle wynika z nieuzasadnionych obaw i stereotypów o „dzikim wschodzie”; moja rozmówczyni wspomina o współorganizowanych przez nią wyjazdach do Rosji na festiwal Puste Wzgórza – rosyjski odpowiednik Woodstocku: „nie zapomnę niespokojnych reakcji polskich muzyków tuż przed przekroczeniem granicy Federacji Rosyjskiej i przejazdu przez Smoleńsk po tragedii (...), a potem tej atmos-





fery rozluźnienia w grupie po pierwszym kontakcie z przyjaznymi i niezwykle gościnnymi Rosjanami, którzy okazywali się zwykłymi ludźmi (...). Udział polskich artystów w Pustych Wzgórzach wspomógł Dom Kultury Polskiej, jakkolwiek w tym roku ponowny wyjazd ekipy nie doszedł do skutku: „brakuje entuzjazmu, zaangażowania”, kwituje pani Krystyna i kontynuuje: „trudno przebić się ponad polityczne relacje polsko-rosyjskie, jakkolwiek inicjatywa musi być oddolna i nie powinno być w niej miejsca na ciągłe podkreślanie wątków narodowych, (...) wtedy ma ona szansę na powodzenie”.

Wrocław, Puste Wzgórze czy promowanie rosyjskiej awangardy w Polsce to inicjatywy wprowadzić niszowe, ale warte pozna-

nia, bardzo oryginalne i wyjątkowe, bo pani Zawadzka poprzez swoją działalność przede wszystkim pokazuje Polakom inne, nieznanne oblicze wschodu; obnaża naszą ograniczoną wiedzę o Rosjanach, nacechowaną myśleniem stereotypowym. Rosyjska muzyka to nie tylko bałatajka, Wysocki czy Okudźawa, ale też zespoły muzyki rockowej przeżywające okres swojej świetności w latach 80. albo festiwale, na których się prezentowały. Rosjanka mieszkająca w Polsce dosyć krytycznie podchodzi do organizowanych nad Wisłą i Odrą przez władze oficjalnych wystaw i imprez, takich jak festiwal filmów rosyjskich Sputnik nad Polską, bo często utrwalają one obrazy i powielają utarte skojarzenia związane ze wschodem – brakuje w nich obiektywizmu, nowoczesnego podejścia do tematu, świeżego spojrzenia. „Wrocław posiada ku temu świetną przestrzeń dla twórczości niszowej (...), kocham to miasto i jego atmosferę, wytworzoną przez ciągłe wyprowadzki jego mieszkańców, przez co nabrało ono samodzielności i nie musi do nikogo należeć, a każda opinia o nim jest prawdziwa”, wyznaje pani Zawadzka, która zdradza marzenie o stworzeniu gdzieś w polskich górach przystani, swego rodzaju azylu dla artystów awangardowych, nie tylko Rosjan, bo jak podkreśla moja rozmówczyni: „w awangardzie nie ma miejsca na pojęcie narodowości, ona jest ponad podziałami”. ■

Wbrew wszystkiemu

- porozmawiajmy o naszych Romach

44

Cyba każdy spotkał w swoim życiu Roma, czy też Cygana, jak czasem nazywa się przedstawicieli tej wyjątkowej, acz niejednorodnej społeczności albo grupy etnicznej pochodzenia indyjskiego, bo rozsiadani na obszarze całego globu, zawsze wyróżniali się restrykcyjnym przestrzeganiem charakterystycznych dla siebie zwyczajów i zasad, które stanowią o ich tożsamości oraz wynikają z subiektywnego rozumienia treści kultury romskiej. Na obszarze Polski, gdzie wyróżniamy ich cztery główne grupy: Polska Roma (Cyganie nizinni), Bergitka Roma (Cyganie karpaccy), Kelderasza oraz Lowari. W Polsce może mieszkać od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy Romów – statystyki nie podają jednoznacznej liczby, tak jak niejednoznaczne i trudne jest sklasyfikowanie mniejszości romskiej w ogóle. Wyjątkowej tutaj, bo zupełnie innej od pozostałych grup narodowościowych i etnicznych zamieszkujących Rzeczpospolitą. Na ich temat od czasów starożytnych krąży tyle samo mitów, legend i przesądów, co powstało stereotypów i uprzedzeń. Kim są współcześni Romowie mieszkający na początku XXI wieku w Polsce, kraju aspirującym do miana nowoczesnego członka Unii Europejskiej? Czy wkrótce uda im się zrobić milowy krok naprzód w rozwiązywaniu ich kluczowych problemów społecznych, jakimi są chroniczna bieda, bezrobocie, analfabetyzm i brak integracji z resztą społeczeństwa? Dwa pozytywne przykłady zaprezentowane poni-

Romowie

żej, z Wrocławia i Kamiennej Góry, pokazują zachodzące zmiany, które pozwalają nam patrzeć optymistycznie na przyszłość.

Pan Józef Mastej z wrocławskiego Brochowa jest prezesem Stowarzyszenia Romów, Romani Bacht (w języku romani: cygański szczęście), którego nadrzędnym celem od 2004 roku jest integracja lokalnej ludności pochodzenia romskiego z polskim społeczeństwem. Biografia tego człowieka nie należy do przeciętnych, a aktywność i zaangażowanie na polu walki o równość w traktowaniu mniejszości romskiej to lata jego zmagania z nieprzychylnym prawom człowieka systemem, biurokracją, nieufnością, a czasem wręcz wrogością każdej ze stron. Jako Rom z pochodzenia, całkowicie zasymilowany z polskim społeczeństwem i mieszkający w państwie, w którym zdobył wykształcenie, jest prezesem stowarzyszenia, jak gdyby naturalnym łącznikiem pomiędzy dominującą większością, której stanowi część oraz mniejszością, z którą się identyfikuje. Rozumie potrzeby jednych oraz argumenty drugich, co decyduje o jego szczególnej roli pośród społeczności. Wszystko zaczęło się jeszcze wiele lat temu, gdy pan Józef jako młody chłopak zaangażował się w lokalnym klubie sportowym, gdzie szybko zintegrował się z rówieśnikami; potem były wspólne wyjazdy na treningi, turnieje, czasem odbywające się za granicą. Pan Mastej rozumie dziś jak istotna jest integracja, choćby poprzez sport, w którym znikają wszelkie podziały narodowościowe czy kulturowe – prowadzona przez niego drużyna hokeja na trawie dla młodzieży polskiej i romskiej z Brochowa istnieje bez przerwy od 1975 roku: „to bardzo ważne by dzieci młodsze i starsze razem ze sobą spędzały czas, poznawały się nawzajem (...), zdarza się nawet, że polska młodzież uczy się słów romskich od swoich rówieśników”, zauważa. Ten proces integracji nie nastąpi samoistnie, zadaniem każdego z nas jest bowiem wspierać go wszelkimi środkami, bo nie ma chyba lepszego sposobu przełamania stereotypów i uprzedzeń niż bezpośredni kontakt z drugim człowiekiem.



Pan Józef Mastej z wrocławskiego Brochowa jest prezesem Stowarzyszenia Romów, Romani Bacht.

45
Oprócz drużyny hokejowej, na Brochowie istnieje również świetlica dla dzieci i młodzieży prowadzona przez stowarzyszenie Romani Bacht: „początki były bardzo trudne”, wspomina pan Józef Mastej i opowiada o wsparciu lokalnej fundacji PROM z Wrocławia w organizowaniu załączków ich działalności; „polscy rodzice z osiedla wciąż jeszcze niechętnie zezwalają swoim dzieciom na wspólne zajęcia na świetlicy z dziećmi romskimi (...), a ja chcę zwalczyć ten stereotyp, chcę współpracować z ludźmi, bo człowiek się liczy...”, stwierdza jednoznacznie romski aktywista. Równocześnie pan Józef dostrzega konieczność otwierania się Romów na innych: „najwyższy czas, by poznali i zrozumieли intencje Polaków”, zauważa. Krytyczny stosunek do niektórych aspektów zachowania ziomków, konieczny przecież by wyjść z dialogiem do większości, ale też częsty brak zrozumienia intencji, wzbudza nieufność pośród niektórych członków społeczności romskiej wobec działalności Romani Bacht i innych organizacji jej podobnych, co wydaje się obecnie największym problemem w procesie integracji. „Mieszkamy w Polsce i w gruncie rzeczy czujemy się Polakami”, mówi pan Mastej i dodaje: „generalnie, mieszkańcy osiedla są pozytywnie nastawieni do Romów, a współpraca z władzami miasta idzie ku lepsze-
mu – w ten sposób otwiera się droga dialogu, bo my chcemy tutaj coś zbudować, chcemy zapraszać do poznania nas”.

Integracja w szerokim tego słowa znaczeniu może odbywać się nie tylko na płaszczyźnie rywalizacji sportowej, ale spoiwem ponad

podziałami równie dobrze może być muzyka, uniwersalny zapis dźwięków przypisany danej kulturze, który nie zna pojęcia granicy. Cygańska dusza, romski ekspresjonizm i temperament wyrażony w lirycznych pieśniach, tęsknych piosenkach, żywiołowym tańcu przy rytmicznym takcie w muzyce – czy znajdziemy coś równie oryginalnego i prawdziwego, w naszych czasach powodzi gwiazd kiczu oraz pop kultury, co daje nam obecność romskiego żywiołu? Zespół Romani Bacht działający przy wrocławskim stowarzyszeniu od wielu lat upowszechnia ten unikalny kawałek dobrej muzyki przy okazji licznych występów na festiwalach i koncertach, w ten sposób przełamując niechęć niektórych i ich stereotypy. W 2010 roku, dzięki wsparciu programu pomocowego dla środowiska ze strony Unii Europejskiej powstało profesjonalne studio nagrań na Brochowie, którego pierwszym rezultatem jest płyta Gitan Swing – ciekawa propozycja nawiązująca do złotych lat cygańskiego jazzu. „Moim marzeniem jest stworzenie tutaj, na Brochowie, prawdziwego centrum kultury romskiej”, przyznaje pan Józef Mastej i dodaje, że duże nadzieje na uzyskanie wsparcia w tym projekcie związane są w związku z ogłoszeniem Wrocławia Europejską Stolicą Kultury 2016; „na ile wystarczy mi sił, tyle będę działał”, wyznaje prezes stowarzyszenia i konkluduje: „gdybym nie wierzył w powodzenie projektów, nie był optymistą, to nigdy nie zajmowałbym się tym, czym się zajmuję”.

Analfabetyzm istniejący pośród polskich obywateli pochodzenia romskiego na początku dwudziestego pierwszego wieku pozostaje wciąż tematem tabu, bo to wstydlivy problem dotyczący całego naszego społeczeństwa. W teorii wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej, niezależnie od wyznawanej religii, narodowości czy pochodzenia etnicznego, przysługuje bezpłatny dostęp do edukacji, jest to wręcz nasz oczywisty obowiązek. Jak zatem wytłumaczyć przyzwolenie społeczne na wykluczanie części młodzieży romskiej z państwowego systemu oświaty, zresztą przy całkowitej zgodzie ich niewykształconych i zacofanych cywilizacyjnie rodziców,

gdzie zdrowe dzieci romskie są wciąż celowo umieszczane w specjalnych placówkach przeznaczonych dla dzieci opóźnionych w rozwoju. Nie podtrzymuje to ani pozytywnego wizerunku nowoczesnego państwa, ani nie przynosi chwały dla jego obywateli nazywających się Europejczykami. „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” – to wyrażone przed kilkoma wiekami powiedzenie jest stale aktualne. Tylko poprzez właściwą edukację będziemy w stanie zbudować rozumne i świadome swych praw oraz obowiązków społeczeństwo obywatelskie o solidnych podstawach osadzonych na gruncie zasad powszechnej tolerancji oraz szacunku dla różnorodności. Dopóki problem wykluczenia młodzieży romskiej z państwowego systemu oświaty istnieje, dopóty proces integracji grupy mniejszościowej z większością społeczeństwa pozostaje zawieszony w próżni, a system zwany tu demokracją poddany w wątpliwość.

Asystent edukacji dzieci romskich to osoba działająca przy placówkach oświaty na terenie Rzeczypospolitej od 2004 roku, mianowana w celu usuwania barier w procesie integracji młodzieży należącej do grupy mniejszościowej, istniejących w polskiej szkole. Pan Robert Bładycz z Kamiennej Góry na Dolnym Śląsku od początku działania projektu rządowego pełni swą funkcję w miejscowej szkole: „najtrudniejszy był dla mnie początek, ponieważ nie wiadomo było, czym dokładnie taki asystent miałby się zajmować, nie było precedensu w przeszłości (...), przyznaje romski działacz oraz aktywista na rzecz poprawy warunków życiowych lokalnej społeczności i dodaje: „asystent jest swego rodzaju mediatorem, pośrednikiem w szkole pomiędzy nauczycielami, wychowawcami i władzami placówki z jednej strony oraz z drugiej, z romskimi uczniami i ich rodzicami, z którymi jest najwięcej pracy (...), spełniam tutaj funkcję jak gdyby kontrolną, mam wspomagać również w kwestiach wychowawczych”. Pan Robert Bładycz opowiada o codziennych trudach w swej pracy, gdzie niezwykle ciężko było mu zdobyć zaufanie i autorytet, zarówno

Romowie

pośród podejrzliwych wobec nowej instytucji pracowników szkół, jak i niechętnych placówce rodziców dzieci należących do mniejszości etnicznej. Z pewnością energię do pracy u podstaw i pełne zaangażowanie w swoją życiową misję pan Robert czerpie z własnych doświadczeń: „jako osoba pochodzenia romskiego wykształcenie zdobyłem z wielkim trudem; (...) wiem z autopsji, jak nierówno są traktowane romskie dzieci w polskiej szkole i dlatego chcę mieć teraz wpływ na zmiany; (...) potrzeba tutaj jednak więcej romskich liderów, a cała nadzieja w młodym pokoleniu”.

Bez wątpienia tacy aktywiści jak pan Bładycz przyczyniają się do przyspieszenia procesu integracji mniejszości romskiej z polskim społeczeństwem, co pozwala nam optymistycznie patrzeć w przyszłość, bowiem młodzież wychowywana dziś w duchu tolerancji i poszanowania odmienności, w pełni świadoma swych praw obywatelskich, za kilkanaście lub nawet za kilka lat upomni się o swoje pełnoprawne uczestnictwo w życiu społecznym i politycznym kraju. „W Kamiennej Górze nie ma ani jednego dziecka romskiego, które nie uczęszczałoby do szkoły i to jest nasz sukces”, zapewnia pan Robert, ale jak dalej zauważa: „dla ogólnej liczby 45 romskich dzieci mieszkających na terenie gminy, gdzie do każdego z uczniów, każdego

przypadku trzeba podejść indywidualnie, jest tylko dwóch asystentów; trzeba pamiętać, że niektóre z romskich dzieci wciąż słabo posługują się językiem polskim (...), bardzo trudna sytuacja jest na przykład w Wałbrzychu i innych miastach na terenie całego kraju, gdzie wielu z nich umieszczanych jest nadal w szkołach dla dzieci opóźnionych umysłowo”. Oprócz funkcji asystenta edukacji oraz doradcy Rzecznika Praw Obywatelskich, pan Robert Bładycz co roku jest współorganizatorem wspólnych kolonii integracyjnych dla dzieci polskich oraz romskich, bo jak sam podkreśla, tylko poprzez przebywanie ze sobą, poznawanie się, możemy przełamywać bariery, stereotypy i uprzedzenia: „takie wyjazdy wymagają ogromnego nakładu pracy i czasem zastosowania specjalnych środków ostrożności przez ich organizatorów, ale za każdym razem, gdy widzę efekty swojej działalności, to dają mi niebywałą siłę”. Romscy aktywiści, jak pan Mastej z Wrocławia czy pan Bładycz z Kamiennej Góry, wytyczając sobie cele i kierunek swej działalności, wskazują na istotne zmiany zachodzące wśród romskiej społeczności od kilku lat. Czy polskie społeczeństwo wreszcie je zauważy i zechce wesprzeć swych współobywateli w walce o równe prawa, udowadniając tym samym, że jest nowoczesnym, demokratycznym narodem we współczesnej, jednoczącej się Europie? ■

47



Ośrodek
Kultury
Romskiej na
Brochowie.

Islam znaczy pokój muzułmanie w Polsce

W żadnym wypadku nie są grupą jednorodną pod względem narodowościowym, etnicznym czy językowym, jakkolwiek poruszając kwestię mniejszości i ich obecnej sytuacji w Rzeczypospolitej, należy powiedzieć również o muzułmanach jako grupie religijnej, przede wszystkim ze względu na ich wyjątkowość w kraju zdominowanym przez katolicką większość oraz szybko rosnącą liczbę wyznawców Mahometa, jak i w całej Europie.

O sytuacji wyznawców islamu w Polsce i współczesnych dążeniach do dialogu pomiędzy wielkimi religiami świata mamy sposobność porozmawiać z imamem warszawskiej Gminy Muzułmańskiej, Nizarem Charifem, podczas naszej wizyty w meczecie przy ulicy Wiertniczej, jednego z kilku na terytorium Rzeczypospolitej. „Tym, co nas wszystkich tutaj łączy jest wspólna modlitwa”, zauważa mój rozmówca, który przybliżył nam centralną rolę meczetu w integracji lokalnego środowiska wyznawców Mahometa: „do gminy należy 30 rodzin, natomiast społeczność muzułmańska w stolicy liczy obecnie około 10 tysięcy osób. Składają się na nią byli i obecni studenci, którzy przyjechali do Polski studiować, ponadto biznesmeni, imigranci z krajów, gdzie dominuje islam, a także uchodźcy z Czeczenii i innych państw. Obywatele Rzeczypospolitej należący do tutejszej gminy to przede wszystkim polscy Tatarzy oraz Polacy, którzy przeszli na islam, bardzo często powracający z Europy Zachodniej, gdzie zetknęli się z naukami Mahometa i zapragnęli je praktykować w swoim kraju”. Aktualnie, na warszawskiej Ochocie powstaje kolejny meczet, co jest wynikiem potrzeb szybko rosnącej społeczności.

Wraz ze wzrastającą liczbą muzułmanów w krajach Europy powinna iść w parze rosnąca świadomość społeczna na temat religii i obyczajów przybyszy, w przeciwnym razie niedoinformowanie stanie się przyczyną

Muzułmanie

Muzułmańska
świątynia
w Warszawie.



49

nieporozumień, co w konsekwencji nieuchronnie prowadzi do konfliktów i zatargów.

„Obecnie islam rozszerza się bardzo szybko nie tylko w Europie, ale i na całym świecie, co wzbudza obawy tych, którzy nie są muzułmanami”, wyjaśnia imam i zauważa, że „ten konflikt szybko się nie skończy (...), zawsze będzie zło i dobro na świecie”. Z pewnością tak jest, jakkolwiek naszym zadaniem jest unikanie sporów wszelkimi możliwymi sposobami, bo przecież najważniejszym przykazaniem dla chrześcijanina jest miłość do bliźniego, islam w tłumaczeniu oznacza pokój, a w nauce obu religii pozbawienie życia drugiego człowieka jest grzechem. Z pewnością również droga do dialogu jest długa i trudna, czasem wydawać się może wprost

niemożliwa, ale prawdziwa wiara w porozumienie jest w stanie je urzeczywistnić.

„Niektórzy świadomie są nienawistni wobec innych, jak na przykład w stosunku do muzułmanów, a fragmenty Koranu są czasem źle interpretowane przez tych, którzy mają złe intencje”, przekonuje imam Nizar Charif. Według niego wszędzie, nie tylko w Polsce, rola mass mediów w podsycaniu wrogości wobec islamu jest istotna, a odpowiedzialni są za nią dziennikarze, których można podzielić na trzy grupy: zarówno tych, którzy nie posiadają wystarczającej wiedzy na temat religii, ponadto świadomych, z premedytacją przedstawiających wyznawców nauk Mahometa w jak najgorszym świetle oraz tych, co



50

są odgórnie zmuszani do propagowania określonej, narzuconej im wrogości wobec świata muzułmańskiego, często wbrew ich własnej opinii. „Do dialogu potrzebna jest ochota, a o prawdzie wciąż mówi się zbyt rzadko (...), ludzie nie powinni tak emocjonalnie podchodzić do wszystkich zastraszonych informacji, bo często są one nierzetelne i niesprawdzone”, stwierdza mój rozmówca.

Generalizując, zapytałem, czy społeczeństwo polskie i Kościół katolicki w Polsce są tolerancyjne wobec mieszkających w ich sąsiedztwie muzułmanów? „Tak, jak najbardziej”, odpowiada imam, po czym dodaje: „większość ludzi tutaj zawsze była tolerancyjna, niezależnie od systemu politycznego Polacy potrafili szanować prawa mniejszości (...), Polska od dawna jest krajem przyjaznym dla muzułmanów, bardziej przyjaznym niż niektóre spośród państw Europy Zachodniej. Jeśli chodzi zaś o Kościół katolicki, to jest on z pewnością stale otwarty na dialog”. Muzułmański duchowny wspomina o Dniu Islamu w Kościele Katolickim przypadającym co roku 26 stycznia – ustanowienie przez Kościół w Polsce Dnia Islamu jest inicjatywą pionierską w skali świata. Inicjatorem upowszechnienia Dnia jest powstała w czerwcu 1997 r. Rada Wspólna Katolików i Muzułmanów, zaś decydemtem Konferencja Episkopatu Polski.

21 października 2000 r. Konferencja Episkopatu Polski, jako pierwsza na świecie przyjęła do swojego kalendarium dzień 26 stycznia 2001 r., jako dzień modlitw poświęcony islamowi.

Mniejszość muzułmańska skupiona wokół warszawskiego meczetu jest bardzo aktywna na polu edukowania, rozwijania świadomości oraz budowania dialogu pomiędzy wyznawcami wielkich religii; w świątyni często mają miejsce prelekcje i odczyty, lekcje dla młodzieży szkolnej oraz wykłady dla studentów. Reprezentanci mniejszości religijnej są również stałymi gośćmi w polskich mediach, gdzie często podkreślają przenikanie i uzupełnianie się nawzajem wyznawanych wspólnie przez chrześcijan i muzułmanów wartości, pomimo różnic, o których zazwyczaj wypowiadają się z szacunkiem. Może więc zamiast mówić o tak popularnym medialnie ostatnimi czasy „zderzeniu cywilizacji”, wyznawcy dwóch wielkich religii świata powinni częściej sięgać do wspólnych źródeł i korzeni, dostrzegać podobieństwa, gdyż w ten sposób łatwiej odnajdą drogę do porozumienia? ■



1. Wnętrze meczetu.
2. Warszawski meczet jest miejscem spotkań muzułmanów z całego świata.

Niemcy

Jest taki niezwykły kościół...

– Niemcy z Polski

Jest taki niezwykły kościół w samym sercu starego Wrocławia, którego historia liczy ponad 750 lat, a wokół którego, niczym w soczewce, skupiła się niesamowita historia miasta oraz burzliwe dzieje jego wyjątkowych mieszkańców. Kościół św. Krzysztofa, który gromadzi współcześnie w swych murach, pośród innych, niemieckojęzyczną mniejszość protestantów wyznania ewangelicko-augsburskiego z polskiego Wrocławia, przez pół tysiąca lat był miejscem wspólnej modlitwy dla Polaków oraz ośrodkiem polskiej mniejszości w centrum niemieckiego Breslau. Tysiąc lat sąsiedztwa polsko-niemieckiego to równie skomplikowane, co długie dzieje, tak samo, jak skomplikowana oraz długo niestabilna była granica oddzielająca dwa narody – w zjednoczonej Europie bez granic na początku XXI stulecia zniknęła

już fizyczna bariera, pozostała jeszcze tylko ta mentalna. Jeśli na przykładzie niewielkiego kościoła w centrum starego Wrocławia, symbolizującego przeplatającą się przeszłość i teraźniejszość obu narodów chcemy odnaleźć wspólny mianownik dla stosunków Polaków z Niemcami, to niech zgromadzeni wokół niego wierni służą nam za przykład budowania przyjaznych relacji opartych na miłości do bliźniego, współpracy, szacunku i wierze we wspólną przyszłość.

O fenomenie kościoła św. Krzysztofa opowiada proboszcz parafii dla mniejszości niemieckojęzycznej, ksiądz Andrzej Fober: „nasz kościół posiada bardzo długą tradycję świątyni przeznaczonej dla różnych mniejszości, ale dla czego akurat zdecydowano, by to on przyciągał lokalnych Niemców po drugiej wojnie

Głosy z Polski

światowej, którzy pozostali w mieście, gdy ostatecznie już zdecydowano o przyłączeniu Śląska do Polski, tego do końca nie wiadomo". Decyzję o przyznaniu tutaj mniejszości niemieckojęzycznej duszpasterstwa z jednym duchownym, które jakkolwiek pozostaje integralną częścią polskiego kościoła ewangelickiego, podjęto w 1958 roku, co na ówczesne czasy było prawdziwym aktem łaskawości albo zwykłym pragmatyzmem władz komunistycznego państwa, które wszak przez cały okres PRL-u podsycalo wrogość i nieufność do wszystkiego co związane z niemieckością. Bez wątplenia był to bardzo trudny czas dla mniejszości mieszkających w homogenicznym państwie w ogóle, a dla niemieckiej, w dodatku protestanckiej, w szczególności. Jakkolwiek myślę, że zdecydowana większość tych, którzy tu zostali uporała się z przeszłością i pogodziła z realiami, w których przyszło im żyć"; zauważa ksiądz Andrzej Fober i dodaje: „nie należy też zapominać o tych Niemcach, którzy wyjeżdżali falami do RFN z Dolnego Śląska, jak i z całej Polski, w latach 50., 70. i później”.

Po przemianach ustrojowych w Europie Środkowej i Wschodniej 1989 roku, upadku Związku Radzieckiego oraz reżimów komunistycznych w tej części kontynentu, nadeszły zdecydowanie lepsze czasy niosąc ze sobą demokrację i wolność dla wszystkich obywateli państwa polskiego, również dla mieszkających w nim mniejszości narodowych, etnicznych czy wyznaniowych. Kościół św. Krzysztofa, po długich latach starań, z duszpasterstwa nareszcie został przekształcony w parafię ewangelicką, co podnosi jego rangę i jest widocznym znakiem przychylności dla skupionej wokół niej mniejszości. Dziś, jak dawniej, kwitnie w nim swobodnie życie religijne i społeczne: „wychodzimy z ukrycia”, uśmiecha się ksiądz proboszcz i mówi z zadowoleniem: „czasy, gdy Kościół Ewangelicki w Polsce nie był szczęśliwy z powodu przymusowego troszczenia się o swoją niemiecką brać mamy już dawno za sobą (...), obecnie mniejszość czuje się tutaj bardzo dobrze.” W ostatnich latach zwrócono parafii majątek kościelny zagrabiony po wojnie, a po powodzi z 1997 roku dokonano remontu zabytkowego

52





1. Kościół św. Krzysztofa we Wrocławiu.
2. Wydane przed wojną Biblie w języku niemieckim nadal służą wiernym.

budynku kościoła z pomocą jednej z fundacji działających na rzecz współpracy polsko-niemieckiej. Parafia nie jest bezpośrednio finansowana w żaden sposób przez władze RFN. Kościół św. Krzysztofa i skupieni w nim niemieckojęzyczni parafianie stanowią swego rodzaju pomost, są pośrednikami w dialogu, bo choć zamieszkują polskie terytorium są integralną częścią tutejszych struktur, a poprzez liczne i zażyłe kontakty z braćmi w wierze zza Nysy Łużyckiej, w naturalny sposób pełnią szczególną rolę w budowaniu przyjaznych relacji polsko-niemieckich, opartych nie tylko na chrześcijańskim rozumieniu miłości do bliźniego, ale przede wszystkim na własnym doświadczeniu oraz głębokim zrozumieniu skomplikowanych stosunków dwóch narodów.

Kim zatem są współcześni parafianie niezwykłego kościoła? „Na około 180 wiernych przynależących do naszej parafii, blisko 60% stanowią starsi ludzie poprzedniej generacji”, odpowiada ksiądz Andrzej Fober i kontynuuje: „reszta to młodsze pokolenie, jak również obywatele RFN, którzy na dłużej osiedlili się

w mieście lub okolicach. Ta ostatnia grupa ostatnimi czasy szybko się rozrasta, co z optymizmem pozwala nam patrzeć na przyszłość naszego kościoła; (...) Niemcy powoli zaczynają zazdrościć nam miasta i tempa rozwoju oraz przemian zachodzących we Wrocławiu”, zauważa proboszcz. Jakkolwiek, wciąż wiele jest do zrobienia na rzecz społeczności: „pomimo, iż miasto oficjalnie promuje swą różnorodność, ciągle brakuje gestów ze strony władz miasta, na które mniejszości są bardzo wyczulone, (...) oczekivalibyśmy tutaj więcej troski”, zauważa ksiądz. Stolica Dolnego Śląska niebawem zostanie Europejską Stolicą Kultury i to świetna okazja ku temu, by pokazać, iż miasto w pełni na to miano zasłużyło, na przykład przywiązując znacznie więcej uwagi do wydarzeń z życia niezwykłego kościoła św. Krzysztofa we Wrocławiu, który oprócz mniejszości niemieckiej, przyciągnął do swych progów miejscowych kalwinów, chrześcijańską mniejszość koreańską z regionu oraz angielskojęzycznych wierzących – prawdziwie pozytywny przykład niosący ze sobą uniwersalne wartości poszukiwania wspólnej drogi ku zrozumieniu. ■

**HUMANITY^{IN}
ACTION**

POLSKA

Fundacja Humanity in Action Polska

00-216 Warszawa, ul. Konwiktorska 7 lok. 43/7

Tel/fax +48 22 653 01 50, e-mail: poland@humanityinaction.org

www.humanityinaction.org

<http://www.facebook.com/HIAPolska>